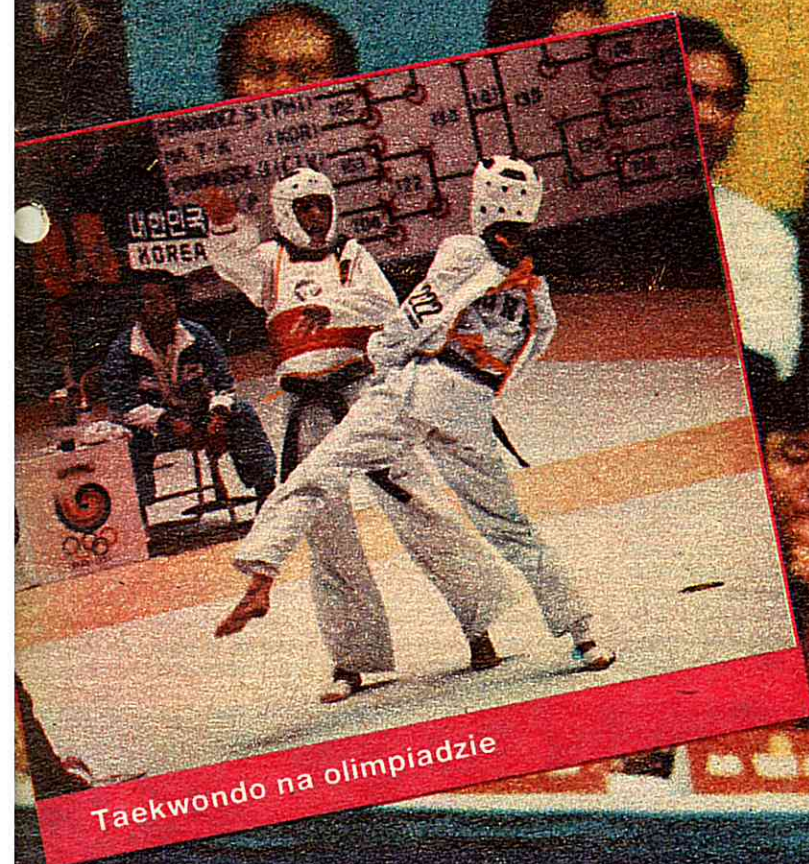
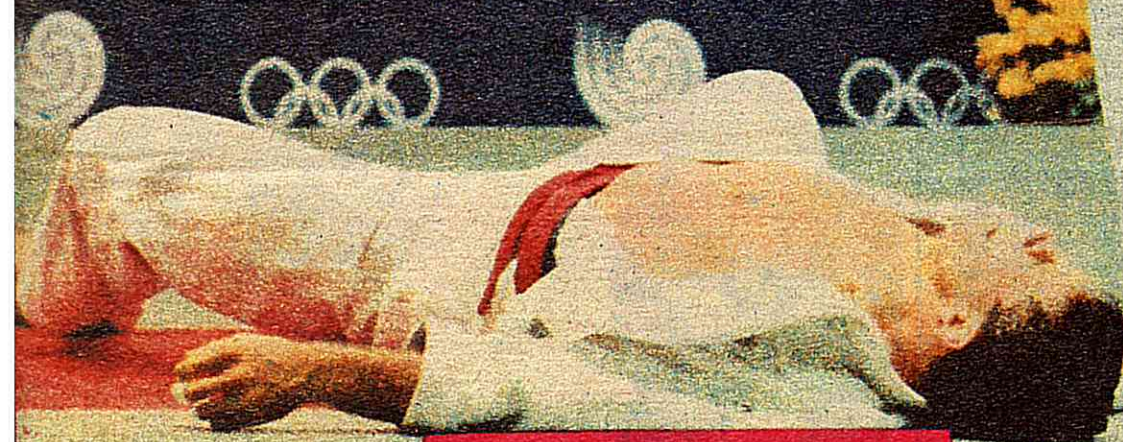


sportowiec budo 4/9

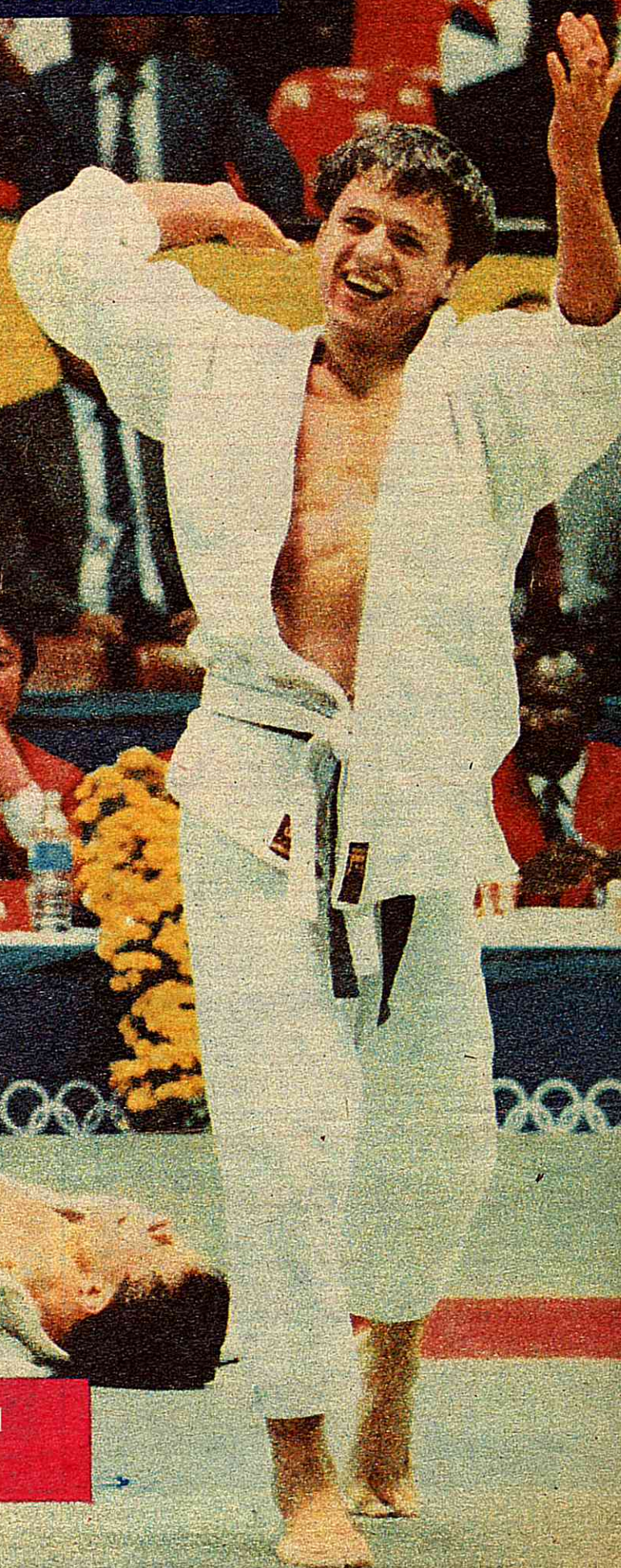
GRUDZIEŃ • 1988 • CENA 120 ZŁ



Taekwondo na olimpiadzie



WALDEMAR LEGIEŃ
mistrz olimpijski



Tameshiwari

Tym razem miało być bez kopnięć i soczystych ciosów. To, co zle w karateckich prądach niczym stalinizm należy uznać za zamknięty rozdział historii. Koniec grupowych waśni, dość sprzeczek i podstawiania nóg, czas na rzeczowe narady...

Z tą prawdopodobnie nadzieją, po pięciu latach, delegaci reprezentujący środowisko dalekowschodnich sportów walki zebrali się na walnym zgromadzeniu sprawozdawczo-wyborczym. Zapowiadało się więc spokojnie, a słodkie pączki i orzechy o stosownej do tej okazji nazwie „mandaryn” jakby jeszcze bardziej łagodziły nastroje.

Szef ustępującego zarządu Polskiego Związku Karate – Wacław Antoniuk gładko się rozliczył ze swojej prezesury, wyliczył co trzeba, czyli sukcesy. Przyznał ippon Komitetowi Młodzieży i Kultury Fizycznej za lepszy obecnie stosunek władz sportowych do dzielnego związku. Przedstawił kolejne komisje stylowe. Po sportowym, odważnie, przyznał się do słabości i gorszych dni. Umiarkowany klimat, według preza, próbowały czasem popsuć donosy i anonimowe kierowane do instytucji kontrolnych. Z czarnych chmur nagromadzonych przez niecznych podległych strzelały pioruny. W ten sposób, bezpodstawnie, zatrzymano swego czasu paszporty służbowe członków zarządu. Instytucje kontrolne, które prześwieiliły związek, nie znajdując brudów przywróciły dobre imię karatekiemu kierownictwu. Antoniuk podsumował optymistycznie, że czasy wojen minęły, obecnie panuje w związku zdrowa konkurencja grup.

Komisja rewizyjna również pozostawiła działa w zbrojowni. Ocenia pracę zarządu za poprawną, minione pięćdziesiąt lat za udane.

Na „tatami” w warszawskim Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zebrali się ludzie walki, lecz nadal zapowiadało się, że tym razem zawarta zostanie gorąca przyjaźń. Płynęły słowa pochwal skierowane pod wysokie adresy, gdy nagle pan Tadeusz Łoboda z Lublina, reprezentujący grupę taekwondo ITF, dobył miecza. Zaatakował związek karate, że jest to ciało nieudolne i zbiurokratyzowane, które hamuje rozwój dalekowschodnich sportów walki w Polsce, ogranicza kompetencje, niszczy inicjatywę, a sobie przypisuje niesłusznie zasługi i sukcesy innych, pracujących ludzi. Szarża Łobody zakończyła się dlań fatalnie. Mimo wsparcia lewej flanki, czyli grupy kick-bokserów, nie zdołał przechwycić władzy i wejść na prezesowski stołek, nie starczyło mu także miejsca przy stole nowego zarządu. Reprezentanci klubów karate zjednoczyli się solidarnie i dali skuteczny odpor...

Apatyczne do tej pory towarzystwo rozgrzało się nagle walka. Do mikrofonu wypowiadano odważne słowa – kto i gdzie rozdawał na lewo i prawo stopnie mistrzowskie, kto zdobywał prawidłowo, a kto w sposób „lipny”. Czyje poczynania są nielegalne, a czyje zgodne z prawem. Gdy przedstawiciel krakowskiego klubu Orion zgłosił wniosek o anulowanie zawieszenia klubu w prawach członka PZKarate, pół sali zabawiło się w detektywa. Delegaci – wywiadowcy sprytnymi pytaniami próbowali dociec prawdy i rozstrzygnąć: czy Orion zorganizował zawody dozwolone, czy niedozwolone. Rozszyfrowanie takiej zagadki może być zabawą przyjemniejszą od rozwiązywania krzyżówek. Na dowód winy strona „prokuratora” cytowała tytuły gazet w których domniemywano, że w krakowskiej sali zamiast mistrzostw Polski kick-bokserów w light kontakcie, po cichu rozegrano mistrzostwa w zabronionej wersji full-contact. Obrońcy dowodzili, że dochodzenie w tej sprawie komisja dyscyplinarna przeprowadziła nieprecyzyjnie, nikogo nie złapano za rękę odzianą w rekawice, natomiast klub na podstawie domysłów został ukarany.

Delegaci niczym ława przysięgłych większością głosów wydali werdykt korzystny Orionowi.

Przy okazji sporu wylano cały kubek pomyj. Kick-bokserzy oskarżali kierownictwo związku o próby niszczenia ich sportu. Riposta z innej części sali mówiła o garstce szaleńców, która próbując rozpowszechnić walki full-contact wystawia niesławomą młodzież na ogromne niebezpieczeństwo. Nie brak było głosów nawołujących niektórych działaczy do poddania się badaniom psychiatrycznym...

Napoleon powiedział kiedyś o polskim pułku gwardii: „Ci ludzie umieją się tylko bić”. Podobne rozczarowanie wyraził obserwator z KMiKF wicedyrektor Zbigniew Sikora. W trwającym blisko siedem godzin zgromadzeniu zabrakło czasu na poruszenie problemów szkoleniowych, kwestii trenerskich, spraw sprzętowych. Ze względów formalnych upadł wniosek, aby w skład obecnego nowego zarządu wszedł przedstawiciel każdego ze stylów skupionych w PZKarate. Test łamania (tameshiwari) dawnej struktury się nie powiódł. Sprawy ambicjonalne wzięły górę nad możliwością praktyczniejszych posunięć. Nie wiem, czy to słuszne rozwiązanie, że karatecy będą decydować o sprawach aikidoków, kick-bokserów i innych.

Licze na roztropność nowych władz PZKarate, na tolerancję i uczciwe stawianie spraw.

LECH UFEL

● Kron

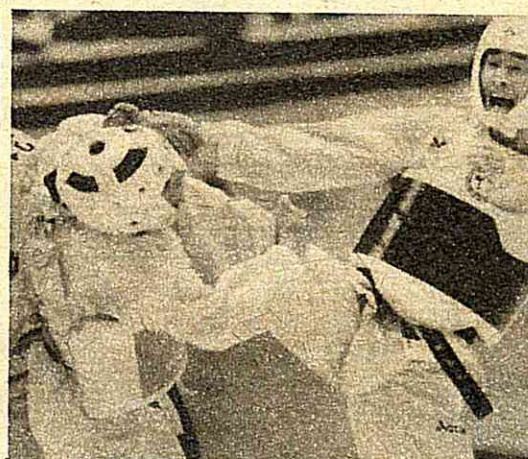


Zdjęcia: KAZIMIERZ ŁASKOWICZ, LESZEK FIDUSIEWICZ, CAF

Mistrzowie olimpijscy – Waldemar Legień i Andrzej Wroński w rozmowie z Wojciechem Jaruzelskim na spotkaniu olimpijczyków w Pałacu Urzędu Rady Ministrów.

● Wielki sukces odnieśli polscy judocy na olimpiadzie w Seulu. Waldemar Legień jako pierwszy w historii polski judoka zdobył złoty medal olimpijski. Janusz Pawłowski wywalczył medal srebrny, lecz również zapisze się w sportowej historii jako pierwszy Polak, który na olimpiadzie wygrał z Japończykiem (Yousuke Yamamoto). Ciekawostki z Seulu oraz fotoreportaż z olimpijskiej tatami na stronach 12-16.

● Taekwondo WTF również zaprezentowało się olimpijskiej widowni w Seulu. Jak było do przewidzenia w ojczyźnie tego sportu dominowali zawodnicy koreańscy. W kategorii mężczyzn przybyłszy z innych stron świata oddali tylko jeden złoty medal. W gronie kobiet zawodniczek amerykańskie, a nawet Dunka – udowodniły, że świetnie opanowały sport wywodzący się z Półwyspu Koreańskiego. Trójka naszych reprezentantów: Mariusz Zdunek, Piotr Radke i Wojciech Kowalski nie odniosła sukcesów przegrywając pierwsze walki.



Czy turniej olimpijski w taekwondo WTF, który się odbył w Seulu, oznacza olimpijską premierę tej dyscypliny? Na zdjęciu polski reprezentant – Ji Young-Suk (Korea Południowa) w akcji z Hiszpanem Jose Sanabarią.

Szczegóły z olimpijskiej areny na stronach 6-7.

● Kobiety uprawiające judo mają największe szanse ze wszystkich sportów walki występujących w przyszłości na

igrzyskach olimpijskich. W Seulu odbył się turniej judo, w którym wystąpiła nasza reprezentantka – Irena Olechowicz, zajmując 3 miejsce.



Prezes Wacław Antoniuk, pierwszy z prawej, w roli sędziego.



Nasza jedynaczka w olimpijskim turnieju judo – Bogusław Olechnowicz w gronie kolegów.

● Wacław Antoniuk, lat 37, obywatel Szczecina od 16 lat zajmujący się karate został ponownie prezesem Polskiego Związku Karate. Sternikowi dalekowschodnich sportów walki uprawianych w Polsce życzymy mądrych rządów i zjednoczenia środowiska w zgodną rodzinę.

● Kick bokserzy nadal w n... Na rozegranych w Wenecji... mistrzostwach Europy w formułach semi – i light – contact wystąpili też Polacy. Marek Drazdzyński w kategorii do 63 kg zdobył brązowy medal (light-contact). W pojedynku o finał uległ on Alexowi Briesenickowi z RFN. Innych naszych kick bokserów zmotyla ... podróż. Relację Marka Frysza, sędziego głównego mistrzostw w Wenecji czytaj na stronie 11.

● Na podbój chińskich aren wyruszyła w październiku 7-osobowa reprezentacja Polski w kung-fu. Polacy wzięli udział w pierwszym międzynarodowym festiwalu Wu Shu, który zorganizowano w mieście Hangzhou. Paweł Dezaremba-Zaremba z Krakowa pokazał, że chińskie sztuki nie są nam obce. Zajął on pierwsze miejsce w formach tradycyjnych. Elżbieta Dudek była piątą w formie z włócznią. W drugiej części imprezy, turnieju wolnej walki, która odbywała się w Shenzen Marek Piechotka z Warszawy uplasował się na szóstym miejscu w najcięższej kategorii, wadze do 80 kg. Polska ekipa pod wodzą trenera Sławomira Milczarka przebywała w ChRL na zaproszenie Chińskiego Instytutu Wu Shu.

● Skromna, 5-osobowa ekipa karateków wzięła udział w mistrzostwach świata (WUKO) w Kairze. Konto karateków nie wzbogaciło się po tamtej imprezie medalami. Według obserwatorów mistrzostw Polacy sprawili jednak dobre wrażenie w tym turnieju, wygrywając wiele walk. Najlepiej wypadł Arnold Goliszewski w wadze ponad 80 kg sklasyfikowany na miejscach 7-8. Pokonał on między innymi wielokrotnego medalistę mistrzostw Europy – Szweda Dagfelta, wygrał w sumie 9 walk, kilka innych nieznacznie przegrał w tym dzielnie stawia-

jąc czoła znakomitemu mistrzowi świata Francuzowi Emanuelowi Pindzie. Jest nadzieja, na nasze sukcesy w karate wszechstylowym.

WYNIKI

Kobiety: – kumite – 53 kg: Hasama (Japonia), 60 kg: Kimura (Japonia), ponad 60 kg: Van Mourik (Holandia), Kata – indywidualnie: Mimura (Japonia), drużynowo: Japonia.

Mężczyźni: 60 kg: Saher (W. Brytania), 65 kg: Stephens (W. Brytania), 70 kg: Masci (Francja), 75 kg: Hayashi (Japonia), 80 kg: Josepa (Holandia), ponad 80 kg: Pinda (Francja).

Open (do trzech ipponów): Egea (Hiszpania), open (do jednego ipponu): Guazzaroni (Włochy), Kumite – drużynowo: W. Brytania. Kata – indywidualnie: Sakumoto (Japonia), drużynowo: Japonia.

● Udana impreza, wiele utalentowanej młodzieży. Oto opinia o mistrzostwach Polski kadetów, juniorów i kobiet rozegranych w karate według przepisów WUKO. Belchatowskie zawody dowiodły także, że mistrzowie rodzą się nie tylko w tradycyjnie silnych ośrodkach, lecz również w mało znanych:

WYNIKI

Kadeci 55 kg: Maciejewski (Biłgoraj), 60 kg: Andrukiewicz (Gdańsk), 65 kg: Grzegorek (Łódź), 70 kg: Podcwiardowski (Gdynia), 75 kg: Kusa (Szczecin), ponad 75 kg: Sejdyh (Bielsko-Biała)

Juniorzy: 60 kg: Sawa (Biłgoraj), 65 kg: Szyszka (Biłgoraj), 70 kg: Pietkiewicz (Prudnik), 75 kg: Wysocki (Wrocław), 80 kg: Szczasiuk (Szczecin), ponad 80 kg: Mania (Olsztyn).

Kumite kobiet: 53 kg: Miłkowska (Łódź), 60 kg: Pajor (Prudnik), ponad 60 kg: Kozłowska (Szczecin)

Kata-kobiet: Łapanowska (Gdynia), mężczyzn: Juszcak (Police), drużynowo mężczyzn: ŁKS Znicz Biłgoraj. Kumite drużynowe: ŁKS Zarzewie Prudnik.

Wiadomość z ostatniej chwili! Przemysław Saleta zdobył mistrzostwo Europy, Wojciech Cieślak wywalczył brązowy medal. Mistrzostwa Europy kick-bokserów w wersji full-contact odbyły się w Trogirze w Jugosławii. O Salecie czytaj na str. 10-11.

Korespondencja z Seulu

Niewątpliwie hala sportowa Chang-Chung Gymnasium, usytuowana w centrum Seulu, po latach zostanie uznana przez Koreańczyków za świątynię. Gospodarze XXIV Igrzysk Olimpijskich zdobyli tu aż jedenaście złotych medali, uzyskali największą z możliwych satysfakcję dla narodu, który swą pracowitością osiągnął bardzo wysoki standard życia, ale nie mógł wyzwoić się z kompleksu niedowartościowania w tak zwanej „sferze nadbudowy”. Jedenaście razy publiczność ze łzami w oczach słuchała własnego hymnu, płakali też zawodnicy, główni bohaterowie, siegały po chusteczki ich żony, matki, trenerzy, prezesi. Przylutna sala Chang-Chung pozostanie także dla nas Polaków miejscem ogromnego sukcesu. Czy mogliśmy liczyć, że polscy judocy zdobędą tu dwa medale, że będą rzucać na matę Japonczyków i zbierać aż takie gratulacje?

Pierwszymi gośćmi Chang-Chung byli reprezentanci taekwondo, dyscypliny, która narodziła się właśnie w Korei. Powojenne rozbicie tego pięknego kraju na dwa państwa nie pozostało bez wpływu na kierunki rozwoju sportu i także taekwondo z biegiem lat zaczęło wykazywać coraz większe różnice w przepisach i ich interpretacji. Powstały dwie zupełnie odrębne, światowe organizacje WTF i ITF z oddzielnym systemem rozgrywek, z jednakowo dużymi ambicjami. Tak się złożyło, że Międzynarodowy Komitet Olimpijski do promocyjnego turnieju pokazowego olimpiady roku 1988 dopuścił „wyznawców” WTF, chociaż Juan Antonio Samaranch zastrzegł, że jeśli taekwondo ma w przyszłości wejść na stałe do programu Igrzysk jako pełnoprawna dyscyplina – musi nastąpić połączenie obu organizacji. Tymczasem oglądaliśmy jedną z wersji...

Kiedy wszedłem na salę pierwszego dnia imprezy – stanąłem jak wryty. Komplet publiczności, masa „czarowników” z bębnami, piszczałkami, kastanietami, nastrój jakby rytualnej ceremonii. W sub-centrum prasowym na zapleczu doskonale informatorzy, foldery, biuletyny, zdjęcia sławnych zawodników. Od razu widać, że taekwondo ma w tym kraju takie miejsce jak baseball w USA, futbol w Anglii i boks na Kubie. Przy dźwiękach fanfar do loży honorowej weszli dostojni goście. Przewodniczący MKOl, Juan Antonio Samaranch i prezydent Korei Południowej Park. Było to kilka godzin po uroczystym otwarciu Igrzysk na Olympic Stadium.



Waldemar Legień otrzymał złoty medal z rąk legendarnego Antona Geesinka.

Zdjęcie LESZEK FIDUSIEWICZ

a finały pierwszych kategorii wagowych, były pierwszymi finałami całej olimpiady. To nieważne że dyscyplina pokazowa. Przecież to sprawa

WIELKI SPORT W ŚWIĄTYNI CHANG-CHUNG

umowna. Przecież walki będą „na całego”, a medale dla ich zdobywców nie mniej wartościowe.

Zaczęło się od wspaniałych występów młodzieży z klubów szkolnych. Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak można przy umiejętnym połączeniu muzyki z ćwiczeniami „kata” ujętymi w kapitalne formy choreograficzne – zrobić z tego sportu cudowny balet. Brak superlatyw, które mogłyby określić wrażenia. Dziewczeta w ludowych maskach, chłopcy w narodowych, barwnych strojach. A potem inna grupa, już w białych kimonach, także poruszająca się z wirtuozerią godną Bejarta. Pokaz trwał długo i cały czas nie milkły oklaski. Wyczynowi sportowcy demonstrowali niebawem kunszt rozbijając stopami zawieszono wysoko nad głowami jabłka. Chwila koncentracji, niesamowity krzyk, salto w tył i dwie stopy w ułamku sekundy tłuć trzymane na wysokości dwóch metrów dachówki! Dla obserwatorów nie wywodzących się z Korei nie ulega wątpliwości, że kiedy dojdzie do zawodów, większość złotych medali muszą zdobyć właśnie ci ludzie, ci adepci szkółek seulskich, dziewczeta i chłopcy, dla których taekwondo jest po prostu elementem codziennej gimnastyki, sposobem na życie.

I tak się stało. W turnieju mężczyzn na osiem konkurencji aż w siedmiu triumfowali Koreańczycy. Kiedy patrzyłem na małego Kwon Tae-Ho, jego kocią zwinność, szybkość, dynamikę akcji, myślałem, że byłby zapewne także mistrzem i w judo i w boksie. Ale wybrał te właśnie dyscypliny i jest szczęśliwy. Złoty medal wręczył mu osobiście przewodniczący MKOI. Nazajutrz cała prasa zamieszcza kolorowe fotografie. Kwon stał się bohaterem narodowym. Na krótko, bowiem godzinę później wygrał swą kategorię inny kolega i codziennie przybywało po kilku nowych championów. Tylko w kategorii ciężkiej zwyciężył „obcy”, reprezentant USA Jimmy... Kim! Jaki tam obcy! Przecież także Koreańczyk z pochodzenia, tylko urodzony w Los Angeles.

Publiczność bardzo przeżywała niepowodzenie swojej dziewczyny w wadze do 43 kg. Ustąpiła ona pierwszeństwa Tajwanec Chin-Yu-Fang, płakała, nie mogła pogodzić się z tym, że nie zrealizowała swych marzeń. Ale... świat nauczył się już od Koreańczyków wiele. Złote medale zdobyły wprawdzie jeszcze tylko Amerykanki i Dunka Christensen, lecz bardzo dobrą postawę wykazały Włoszki i Hiszpanki, a nawet zawodniczki RFN. Dziewczyny lubią prawdziwą walkę i chociaż wciąż jeszcze jest ogromna liczba sceptyków, którym nie podoba się fakt, iż kobiety kopią się i biją po twarzach, to jednak owe dzielne sportsmenki uważają, że przecież odbywa się to wszystko w konwencji wspaniałej zabawy, a po zdjęciu kasku i wzięciu kąpieli zadziorne wojowniczkę upodobań się do ponętnych „kociaków”.

O występach Polaków piszemy w innym miejscu. Mamy bardzo dużo pracy przed sobą, jeśli chcemy w tej dyscyplinie się liczyć. Być może kiedy dojdzie do połączenia rywalizujących organizacji nastąpi znaczący postęp, a tacy zawodnicy jak mistrz świata Pajewski też uzyskają swoją olimpijską szansę.

Po taekwondzistach halę Chang-Chung opanowali judocy. Zapowiadało się na powtórkę złotej serii gospodarzy. Już w kategorii do 60 kg zwycięstwo Kim-Yae Yupa nie podle-

gało dyskusji. Tymczasem pierwszym obcokrajowcem, który stawiał czoła rozpędzonej machinie był... Polak, Janusz Pawłowski! Nikt nie dawał mu szans w finałowej walce z Lee Kyung-Keunem, mimo że Polak w półfinale wygrał przez ippon z samym mistrzem świata Yamamoto. A jednak nasz judoka nie „pekl” i doprowadził do tego, że strach pojawił się w oczach Koreańczyka. Lee pocił się, rozglądał lekko patrząc w stronę swych sekundantów, jakby się bał, że jeśli przegra zmuszą go do popełnienia harakiri. Polak postanowił „grać” na zwłokę, czekać na błąd rywala, wykorzystać jego nadmiar agresji. Ale Lee, o dziwo, całkiem zmienił taktykę i także czekał. Wiedział, że przy wyrównanym boju, bez koki czy yuko, sędziowie na pewno dadzą mu zwycięstwo. Już ta postawa była moralnym sukcesem Polaka. Walka zakończyła się remisowo. Regulamin nie przewiduje dogrywek. Zwycięża się przez wskazanie. Oczywiście wskazano na Koreańczyka, ale nasz Janusz miał powody do dumy. Zatrzymał nawalnicę.

Od tego dnia mieszkańcy Seulu darzyli ludzi chodzących po ich mieście z orzelkami na marynarkach ogromną sympatią. Telewizja wielokrotnie powtarzała sceny z finałowej walki, przebitki ukazujące rodzinę championa, radość, gratulacje od przywódców kraju. Ale wszyscy przecież wiedzieli, że tak naprawdę to Polak nie przegrał. Pawłowski był dla nich więc też bohaterem.

Wiecej złotych medali dla Korei w hali Chang-Chung już nie było. Zawodnicy innych krajów jakby uwierzyli, że gospodarze to nie jakieś zjawy z Kosmosu, ale zwykli ludzie, których nawet tu, przy tym fanatycznym dopingu też można pokonać. Siegnęli więc po złote medale Francuz, Austriak, Brazylijczyk, wygrał swą kategorię do 78 kg Polak! Waldemar Legień walczył jak „młody Bóg”. Trochę nas bolało, że jego finałową walkę oglądało w Chang-Chung mało widzów, bo koreańska publiczność po wyeliminowaniu swojego pupila rozeszła się do domów, ale dla nas, w sensie sportowym nie miało to zasadniczego znaczenia. Legień wygrał w finale z mistrzem olimpijskim w Los Angeles, Frank Wienieke to judoka najwyższej klasy. Pokonanie go przez „ippon” to nie lada sztuka, a zwłaszcza w olimpijskim finale.

Trener polskiej reprezentacji Ryszard Zieniawa zbierał ze wszystkich stron gratulacje. To, że najmocniej go wyściskają minister Aleksander Kwaśniewski i szef misji olimpijskiej dr Stefan Paszczyk było oczywiste. Ale Zieniawie gratulacje składał także... Japończyk! Ojczyzna judo zdobyła w Seulu tak jak Polska tylko jeden złoty medal (w wadze ciężkiej Hitachi Saito) ani jednego srebrnego(!) i trzy brązowe. Nasz „mistrz” pobierający od dwudziestu lat nauki w Kodokanie, okazał się już wcale nie gorszy od nauczycieli. Formalnie Zieniawa odpowiadał także za występy naszej „jedynaczki” Bogusławy Olechnowicz w turnieju pokazowym pań. Polka wywalczyła brązowy medal, za co oczywiście należą się także wielkie gratulacje, chociaż startowało tylko osiem zawodniczek. Trener, jako człowiek honorowy, nie chce sobie jednak przypisywać żadnych za to zasług, może najwyżej żałować, że do Seulu nie przyjechał z panią Bogusią jej szkolniowiec Jacek Skubis. Kto wie, może wtedy i w tej konkurencji mielibyśmy złoty medal?

JACEK ŻEMANTOWSKI

Rozmowa z WŁADYSŁAWEM KOMAREM



Kadr z filmu „Piraci”. Na pierwszym planie filmowy łamignat – Władysław Komar.

Byl pan mistrzem olimpijskim, kulomiotem, bokserem i piratem. Czy próbował pan uprawiać także dalekowschodnie sporty walki?

– Uprawiałem sport na Dalekim Wschodzie, a konkretnie w Japonii, gdy pojechałem na olimpiadę do Tokio. Natomiast sportów dalekowschodnich nie próbowałem ćwiczyć w żadnym klubie. Uprawiałem trochę na własny użytek, szczególnie wtedy gdy Roman Polański zaangażował mnie do filmu „Piraci”. Polański jest wielkim wielbiciele tamtych sportów walki, on ćwiczy, pięknie kopie. Zaprowadził mnie kiedyś w Paryżu do specjalnej szkoły dalekowschodnich sportów walki, którą prowadzi Richard Duex. Miałem zaprawić się do walki zanim przystąpiłbym do kręcenia filmu. Przyszedł jakiś czarnoskóry mistrz świata i pokazywał mi jak trzeba kopnąć w wątrobę. On zrobił ruch, ja przyłożyłem łokieć na pieszczel i mistrz leżał i wyl, jak to Murzyni potrafią. Polański miał później do mnie pretensje: „To mistrz świata – mówił – nie wypadło tak mu przyłożyć”.

Gdy nagrywaliśmy film w Tunezji, mieliśmy specjalną halę do uprawiania wschodnich sportów. Byli tam specjalnie najęci faceci, którzy uczyli. Sam Polański demonstrował nam różne techniki. On to lubi.

– Który z tamtych sportów pana interesował?

– Jestem zafascynowany postawą naszych judoków na olimpiadzie w Seulu. Furorę zrobili! Nie wiem, czy to pieniądze obiecano przez ministra Kwaśniewskiego tak na nich wpłynęły? Kiedyś koleś Jaremczak, Zieniawa też próbował mnie wcisnąć w kimono, ale się nie dałem.

– Czy opanował pan jakąś technikę, z tych, które pokazywał Polański?

– Nie wiem do jakiego stylu to zakwalifikować. W boksie stoczyłem 76 walk, więc zrozumiałe, że mam naleciałości z boksu i moc-

niej potrafię operować rękami nogami. Polański, człowiek o r krej posturze, bardzo dotkliw uderzeniami z nóg demonstrowa mi to, co on uprawia, chyba ki boxing. Próbowałem też się czegoś nauczyć. Świadomość zna mości technik walki daje większą satysfakcję, niż ich używanie. Człowiek, który poznaje na przykład karate nabiera większej pewnością siebie, ale musi również wiedzieć, że to skarb dla niego, nie używania na ulicy. Tak to widzę.

– Odbył pan wiele podróży między innymi do Japonii, czy nie tknął się pan może na źródło sportów dalekowschodnich, spotkał się z ludźmi, którzy „rozśiewają te sporty na świecie”?

– Na olimpiadzie w Tokio był świadkiem sensacyjnego wydarzenia. Po raz pierwszy na igrzyskach rozgrywano turniej judo. Wiadomo, Japończycy rozkochani w tym sporcie. My też zaczęliśmy się nim interesować. Trochę wi dzieliśmy o judo, ale w japoński scenarii ten sport wyglądał jak inaczaj. I oto w Tokio zdarzyła się ta historia. Widziałem – Holend Geesink wygrał z miejscowym b zyszcem, pamiętam jeszcze jego nazwisko – Kaminaga. Po r pierwszy Europejczyk wygrał z J pończykiem. Mówi się, że Japończycy są nieskorzy do placzu, a pamiętam łzy i rozpacz Kaminag.

– Gdyby był pan obecnie młodym chłopcem również poddał się modzie na uprawianie dalekowschodnich sportów walki?

– Chyba tak. Za czasów mojej młodości popularny był boks, więc boksowałem. Przewinałem się nawet przez kadrę Feliksa Stamm. Walczyłem na ringu dopóki na mojej drodze nie stanął Masteghin. W 1959 roku odbył się mecz z drugą złą włoską, w drugiej rundzie zmieniłem pozycję z bojowej na horyzontalną. Odniesli mnie do szatni i tak zakończyła się moja ostatnia walka. Byłem jeszcze młody i mogłem wybrać inny sport. Zostałem lekkoatletą, później grałem też w rugby, zdobywając w gdańskiej Lechii trzy razy tytuł mistrza Polski. Rugby również pasuje do sportów walki, tam wiel

można. Wybierając teraz jakiś sport, rozsądek nakazywałby mi wybrać sport bezpieczny.

– Jaki jest pana stosunek do dalekowschodnich sportów walki?

– Boję się, że dochodzą do nas w formie nieco wypaczonej. W czystej formie, gdzie zawarta jest głęboka filozofia, dążenie do totalnego zdobycia władzy nad sobą, zawiadanie swoim ciałem, nie ma agresji. Chodzi najwyżej o obronę w przypadku ataku przeciwnika – tak pojmuję te sporty. Ja z natury jestem człowiekiem łagodnym, może jest mi o to łatwiej, niż komu innemu, bo nawet pijany jak zobaczy 135-kilogramową masę daje nogę, a w przypadku ataku wystarczy, że spuszczę pięchę i po herbach. Dlatego łatwiej mi mądrować o filozofii, chociaż wydaje się, że u nas to jest tak: nabór do sekcji, kimono na plecy, a potem szpan na podwórkę, żeby inni się bali.

– Jest pan obecnie aktorem, czy znajomość na przykład karate pomogłaby panu w zawodzie?

– Oczywiście, każdy chciałby dojść do takiej wprawy, że potrafi sprawować kontrolę nad własnym ciałem. Te sporty uczą koncentracji, to się mnie podoba. Kontemplacja, skupienie – ładne.

– Czy grał pan kiedykolwiek rolę podobną do roli Bruce'a Lee?

– W „Opowieści Harleja” grałem rolę głównego przestępcy. W „Piratach” jednym ciosem nokautuję trzech werblistów, którzy mają zamiar mnie powiesić. Czyli walczę inaczej niż Lee, ale z podobnym skutkiem. Aktorstwo to jakby przedłużenie sportowej kariery. Publiczność się nie zmieniła, wali do kabaretu, bo tu zagadki podobne jak w meczu. A może ktoś z aktorów się upił, a może ktoś się przewróci na scenie...

– Bruce'a Lee uważa pan za wielkiego aktora?

– Bruce Lee był kolegą Polańskiego. Tak, tak... W Stanach wzajemnie się odwiedzali, to właśnie Lee „zaraził” Polańskiego dalekowschodnimi sportami walki tak dalece, że ten ćwiczy teraz systematycznie. U siebie w biurze wystawił na przykład gruszkę bokserską i waliliśmy w nią, aż miło. Ale wracając do Lee, na jego temat mam subiektywne zdanie. Mój syn z zachwytem oglądał jego wszystkie filmy. Ja też oglądałem i uważam, że dużo tam baletu. Znam zawód aktorski i widzę kity, numery pod publiczność, które on sprzedaje. Wy-mogi komercyjne. Wystarczy spojrzeć na sylwetkę Bruce'a, a widać, że musiał coś ze swoim ciałem zrobić. Stworzył swój styl, włożył wiele pracy chociażby w celu sprawnego posługiwania się nunchaku. Wszystko można wyćwiczyć, ja też kiedyś wszystkich Mortalesów, łącznie z grubym, nosiłem na scenie. Ale Lee może imponować.

– W jaki sposób wytłumaczyć zjawisko, że Lee kilkoma ruchami rąk i nóg zdobył wielką popularność?

– Wszystko jest kwestią akceptacji społecznych. Stevens, Madonna, Jackson, Stallone – trudno powiedzieć, że to aktorzy wielkiego formatu. Ale potrafili zawiadnąć publicznością. Z nich emanuje jakaś energia, mają gdzieś w sobie to ciepło. Oni czasem sami nie wiedzą, jak to się stało, że zyskali ogromną popularność. Po prostu wybrańcy losu. Bruce Lee również wpadł w temat, bo nagle na coś takiego, co on pokazywał było zapotrzebowanie. Ponadto ma w sobie coś sympatycznego, ładny, sprytny, świetnie wywija nunchaką.

BRUCE' A LEE



Legendarny Bruce Lee był kolegą Polańskiego.

NUNCHAKU

– Lee już nie żyje, legenda pozostała. Czy Bruce da się naśladować?

– Widziałem wielu jego naśladowców, ale Lee jest niepowtarzalny. Pojawia się pewien wzór, a potem są już tylko powielenia, kopie. Nasze panienki też pięknie śpiewają, ale Edith Piaf żadna z nich już nie będzie. Podobnie z Bruce'em Lee.

– Czy w kinie panuje również moda na produkcję filmów z elementami dalekowschodnich sportów walki?

– Kłopotliwe pytanie. Na tego typu filmy jest duże zapotrzebowanie. Siada sobie człowiek wygodnie w fotelu, ma ciepło, czuje się bezpieczny, a tam na ekranie smarują się ile wlezie, okładają się piąchami. Przyjemnie popatrzeć! W „Piratach” są również sceny z machaniem na dziko piąchami, ale Polański unikał efekciarstwa. Doradcy próbowali go nakłonić, żeby w scenach walk było trochę wymachiwania nogami, ale on się nie zgodził i słusznie. Wtedy

inaczej walczone. Ale czego to się nie robi dla widza. Rocky otrzymuje 17 ciiosów prostych i nie reaguje, jego głowa trzyma się dobrze. Kogoś kto zna realia, takie rzeczy śmiesz, ale 99 procent widzów jest zachwyconych.

– Czy polski film próbował wykreować swego Lee, na przykład Komara w tej roli?

– Nie słyszałem o takich próbach. Wiem natomiast o polskiej szkole kaskaderów. U Polańskiego było siedemnastu naszych kaskaderów, bodajże u Felliniego też grali. Są to chłopaki, którzy uprawiali dalekowschodnie sporty walki, judo, karate i świetnie sobie radzą w nowej roli.

– Jest pan mocarzem, czy w starciu z karateką widziałby pan szansę na zwycięstwo?

– Nie wiem ile karateka może wypić? Ja po prostu nie szukałbym zwady. Nie po to jesteśmy ludźmi, żeby problemy rozwiązywać przy pomocy pięści. Można się dogadać. Mnie jeżeli już atakują, to ludzie mali i po to, żeby się później chwalić: „bitem się z Komarem”. Proszę zauważyć, że mocarze się nie zwalczają, biją się tylko kundle. Co innego natomiast walka zorganizowana, sportowa. Sport to sport.

– Dziękuję za rozmowę.

LECH UFEL



Na Igrzyskach olimpijskich w Tokio, w 1964 roku po raz pierwszy otrzymali medale olimpijskie judocy. Na ostatniej olimpiadzie w Seulu zorganizowano natomiast turniej w koreańskim sporcie jakim jest taekwondo. Zaproszenie do występów w tych zawodach według wersji WTF otrzymali trzej reprezentanci polscy. Jednym z nich, który walczył w Seulu był WOJCIECH KOWALSKI. Oto jego wrażenia:

„Uprawiam taekwondo, lecz nigdy nie marzyłem o olimpiadzie. Rzadko startujemy gdziekolwiek za granicą, a coś dopiero na olimpiadzie. Gdzieś cztery miesiące przed igrzyskami zatelefonował do mnie trener Andrzej Puchniarski i powiedział, że jest szansa wyjazdu. Byłem ogromnie zaskoczony i... znalazłem się w kropce. Przygotowywałem się akurat do egzaminów wstępnych na studia. Chciałem się dostać na pierwszy rok pedagogiki lubelskiego KUL-u. Dobre studia, dobra i olimpiada, na co się zdecydować? Postanowiłem osiągnąć i jedno i drugie. Zabrałem się za naukę, natychmiast po egzaminach pojechałem do Zakopanego na zgrupowanie. Ćwiczyliśmy mocno i sumiennie. Do Seulu pojechaliśmy z nadziejami oraz obawami...

Wyobrażałem sobie, że wystąpimy w zwyczajnym turnieju pokazowym. Ale już na miejscu spotkała nas ogromna niespodzianka. Byliśmy traktowani na równych prawach z innymi olimpijczykami, zamieszkaliśmy wspólnie z polską ekipą sportową w wiosce olimpijskiej. Okazało się też, że turniej niewiele ma wspólnego z pokazem, to normalne zawody na wysokim poziomie sportowym, gdyż do udziału zaproszono najlepszych z całego świata.

Zanim zaczęliśmy myśleć o walkach, mieliśmy przykrą przygodę. Po drodze do Seulu zaginęły gdzieś nasze bagaże, w których znajdował się sprzęt i wszystko co potrzebne do występu. Martwiliśmy się przez dzień, ale bagaże na szczęście się odnalazły.

PIERWSZY RAZ

Pierwsze chwile w Seulu to ogromna fascynacja, wszystko nam się podobało, nawet olimpijska stołówka, w której trzeba było czekać w kolejce po jedzenie, ale która zaopatrzona była w duże ilości wspaniałych owoców. Po pierwszym szoku przyszedł czas na inne uczucie jakim jest przedstartowa trema. Widziałem, że udzieliła się ona wszystkim polskim sportowcom. Gorączka przedstartowa objawiła się tym, że ludzie nie wiedzieli co z sobą zrobić, w jaki sposób spędzić wlokący się czas. Było gorąco, więc tak jak większość przesiadywałem w swoim pokoju.

Według programu zawody w taekwondo rozpoczynały się już w dniu otwarcia igrzysk. Rano nastąpiło wspaniałe otwarcie olimpiady, w którym nam najbardziej spodobał się oczywiście pokaz w taekwondo. Pokaz godny ich sportu narodowego. Po południu rozgrywano już zawody. Przedtem odbyło się oczywiście losowanie. O naszych losach decydowała ręka trenerska sięgająca do pojemnika, w którym znajdowały się karteczki z nazwiskami zawodników. Jako pierwszy wystartował Piotrek Radke, któremu trafił się mało znany przeciwnik z Tajwanu. Zauważyłem, że Piotrek się nawet ucieszył. Rywal był w jego zasięgu, ale Piotrek przegrał.

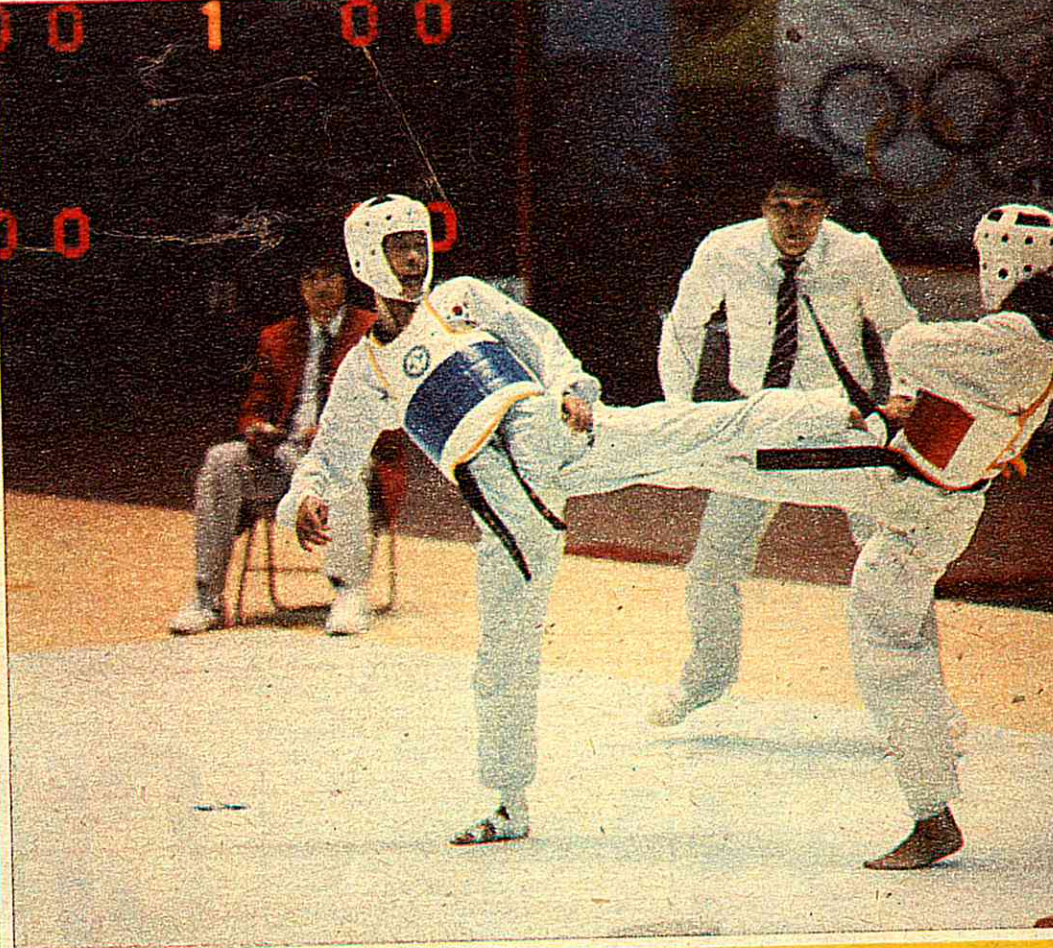
W drugim dniu igrzysk przyszła kolej na Mariusza Zdonka. Mariusz liczył na wiele, był w niezłej formie, lecz również przegrał.

Kiedy trener szedł losować umówiłem się z nim, że nie powie mi od razu na jakiego trafiam rywala. Dopiero po dniu dowiedziałem się, że moim pierwszym przeciwnikiem bę-

dzie Hiszpan Jose-Maria Sanchez. Wiadomość ta trochę mnie zmartwiła. Mój występ przewidziany był w trzecim dniu igrzysk, więc przez dwa dni byłem niepokieszony. Kolegowie się nie powiodło, więc ich smutek udzielił się również mnie. Byłem taki nieswój, myślałem o tym Hiszpanie. Widziałem go wcześniej na zawodach w Iranie, gdzie pokazał się z ja najlepszej strony, wygrał wtedy turniej i udowodnił że jest silnym, dobrze wyszkolonym sportowcem. Starłem się przypomnieć styl walki Sancheza, żeby mnie czymś nie zaskoczył. Pamiętałem, że w Iranie walczył twardo, ani na krok się nie cofał. Rozumiałem, że Sanchez łatwo się nie zalamie. Jedyną radą to mocnym uderzeniem go przestraszyć.

Było o co walczyć, w przypadku zwycięstwa trafiałem do strefy medalowej. Ogromnie chciałem Sancheza przyciąć. On także ruszył na mnie ostro. Od początku walki obaj się nie oszczędzaliśmy, dopiero pod koniec trzeciej rundy spuściliśmy nieco z tonu, gdy zabrakło nam sił. Nasza walka była podobno widowiskowa i emocjonująca, Koreańczycy puścili ją w telewizji. Oglądałem sobie wieczorem. Niestety – przegrałem...

Trener Puchniarski powiedział, że wypadłem najlepiej z Polaków, nie miał do mnie pretensji. Przy wyrównanym poziomie zdecydowało moje mniejsze obycie na światowych zawodach. Hiszpan swobodniej się poruszał, sprawiał lepsze wrażenie na sędziach. Ja dopiero w trzeciej rundzie nauczyłem się tej swobody od niego, ale było za późno. Zostałem sklasyfikowany na miejscach od czwartego do ósmego, a mojemu przeciwnikowi życzyłem dalej powodze-



ZWYCIĘZCY TURNIEJU OLIMPIJSKIEGO

Kobiety: waga 43 kg: Chin Yu-Fang (Tajwan), 47 kg: Choo Nan-Yool (Korea Pld.), 51 kg: Chen Yi-An (Korea Pld.), 55 kg: Anne-mette Christensen (Dania), 60 kg: Dana Hee (USA), 65 kg: Arlene Limas (USA), 70 kg: Kim Hyun-Hee (Korea Pld.), Ponad 70 kg: Lynetta Love (USA).
Mężczyźni: waga do 50 kg: Kwon Tae-Ho (Korea Pld.), 54 kg: Ha Tae-Kyung (Korea Pld.), 58 kg: Young Suk Ji (Korea Pld.), 64 kg: Chang Myung-Sam (Korea Pld.), 70 kg: Park Bong-Kwon (Korea Pld.), 76 kg: Chung Kook-Hyun (Korea Pld.), 83 kg: Lee Kye-Haeng (Korea Pld.), ponad 83 kg: Jimmy Kim (USA).

nia. Rzeczywiście – Sanchez dobry aż do finału, gdzie uległ dopiero Koreańczykowi i zdobył srebrny medal.

Nasze zawody nie różniły się niczym od innych. Panował podniosły nastrój, na maszty wciągano flagi, odgrywano hymny, dekorowano medalami olimpijskimi. Na widowni zasiadł komplet widzów, wiedzieliśmy, że Koreańczycy rzeczywiście są rozkochani w tym sporcie, reagowali bardzo żywiołowo. Podczas walk ich zawodników w hali słychać było jedynie huk, ryk wielu gardel, hałas bębnow. Można się było przestraszyć. Zbierali złote medale i muszę stwierdzić, że rzeczywiście są doskonali w tej dyscyplinie sportu. Posiadają swój styl, polegający na tym, że trenując od czwartego roku życia świetnie znają taekwondo, bezbłędnie w bliskawiczny sposób odgadują zamiary przeciwnika. Ty wykonasz ruch, Koreańczyk jest już przygotowany, mało tego – ma swoją odpowiedź, swoje kopnięcie. Wszyscy zawodnicy, jak zauważyłem, starają się naśladować Koreańczyków, walczyć ich sposobem. Tylko tą drogą można liczyć na sukcesy.

Na olimpiadzie nie wypadliśmy więc rewelacyjnie. Będąc jednak w Seulu liczyłem, że skorzystamy z okazji, by potrenować z Koreańczykami, nauczyć się. Oni opłacali nasz pobyt do końca igrzysk, jakie więc było nasze rozczarowanie, gdy okazało się, że polskie kierownictwo sportowe nakazało nam wracać do kraju nazajutrz po zakończeniu turnieju.

Wracaliśmy z tego powodu trochę rozgoryczeni. Odlatywaliśmy z Seulu także z przyjemnym uczuciem. Bardzo dużo słyszałem o niepowtarzalnym nastroju, o klimacie olimpiad. Na własnej skórze przekonałem się, że nie są to opinie przesadzone. Dla startu w igrzyskach warto poświęcić wiele. Byłem zaskoczony, że Koreańczycy tak miłe, przyjaźnie odnosili się do Polaków. Oni cieszyli się z naszego, podobnego stosunku.

Dzięki pobytowi w Korei Południowej zaopatrzyliśmy się

w sprzęt dla siebie. Licząc, że nasz wypad potrwa trochę dłużej, zamierzaliśmy przywieźć trochę sprzętu, o który w Polsce tak trudno, także dla kolegów. Niestety – z powodu wcześniejszego powrotu zamiar się nie powiódł.

Mimo przegranej, ten jeden start dużo mnie nauczył. Zacząłem zupełnie inaczej patrzeć teraz na walkę. Pod wpływem turnieju olimpijskiego zmieniłem nawet styl walki, próbuję wzorować się na najlepszych, których wreszcie widziałem. Ta zmiana to więcej opanowania, mniej chaosu, przypadkowych kopnięć, które do niczego nie prowadzą. Staram się obecnie więcej myśleć w walce. Zauważyłem, że nasza technika nie odbiega poziomem od najlepszych, tylko to obcy... Ile jednak tracimy nie startując na zagranicznych arenach, po prostu stoimy w miejscu.

Kiedy wróciłem z olimpiady, wszyscy pytali mnie jak tam było. W kraju kibicowało nam wiele osób, lecz byli zawiedzeni, że w telewizji nie pokazano żadnej walki z taekwondo. Oni czekali w nocy, nie dosypiali no i się zawiedli.

Myślę, że na następnej olimpiadzie, jeśli nasz sport wejdzie do programu, powinno być już lepiej. Ten start musi zaowocować...

★ ★ ★

Ocena trenera Andrzeja Puchniarskiego:

„Niektórzy pamiętając wydarzenia z ringu bokserskiego, mogą sądzić, że w taekwondo działo się podobnie. Nic takiego. To prawda, że koreańscy zawodnicy dominowali, ale nie było już tutaj walk „do jednej bramki”. Nie zwyciężali w sposób łatwy, lecz często „ostatnim rzutem na taśmę”. Niektóre werdykty przy wyrównanej walce, były jeszcze ukłonem w stronę gospodarzy.

Jak ocenić start Polaków? W sporcie sporadycznie zdarzają się wypadki, żeby nowicjusz, ktoś nieznany zgarniał medale. My do tej pory mało startowaliśmy na międzynaro-

dowych turniejach. Uważam, że przygotowaliśmy się jedna tak jak trzeba. Widzę na przykład Zdonka, że z umiejętnościami, które prezentował na treningach, mógł dojść do finału. Wyciągnął najpierw wolny los, później za rywala miał Amerykanina koreańskiego pochodzenia. W czasie walki Mariusz dziwnie się usztywnił, włączył – jak to nazywam blokadę psychiczną. Nie kopał, nie robił tego co umiał doskonale i w efekcie przegrał. Patrząc z boku na jego poczynania, ogarniała mnie rozpacz, przecież wiedziałem, co potrafi, że jest wyuczony nie gorzej od tamtego, fizycznie lepszy, ale z Mariusza nic jakby się nie wydobywało. Na pewno, chciał, ale „blokada” działała...

Podobna sytuacja z Piotrem Radke. Tajwańczyk, z którym się zmierzył ustępował mu pod każdym względem. Jednak Piotrek nie wierzył w siebie. Po walce był wściekły na siebie, rozpacz, mówił, że „trzeba było tylko raz kopnąć”. Przy stanie 0:0 zwyciężył Tajwańczyk przez wskazanie. Generalnie obaj ci zawodnicy dostarczyli mi przez bliskich zawałowi serca.

Wojtek Kowalski jest typem zawodnika o ofensywnym stylu walki. W pojedynku z Sanchezem, zawodnikiem ceniącym się, otrząskanym w wielu turniejach, pokazał właściwie wszystko na co go było stać. Nie był na tyle dobieży wygrać. Szedł do przodu, ale perfekcyjne kontry Hł pana przyniosły mu zwycięstwo. Do Wojtka nie miał jednak pretensji, zdołał nawet raz mocno trafić Sanchez w głowę, pokazał co umiał. Kowalski najlepiej ze wszystkich zniósł startowy stres.

Turniej olimpijski nie zaskoczył mnie jako trenera. Chwałę się powiem, że wiem jak trenować. Pod względem wiedzy trenerskiej nie ustępujemy innym. Problem, że przeszkolić teraz w Polsce większą liczbę instruktorów, żeby im również przekazać tę wiedzę. Trzeba także przeszkolić sędziów. Ich praca w dużym stopniu wpływa na poziom dyscypliny. Jestem optymistą, co do rozwoju taekwondo WTF w Polsce.

Prezentujemy style

Shaolin

Na szczycie „drzewa genealogicznego” chińskiej sztuki walki wręcz kung-fu wywodzącej się z klasztoru Shaolin historycy widzą najczęściej owianego legendą mnicha buddyjskiego Da Mo zwanego też Bodhidharma. Przywędrował on w roku 527 n.e. z Indii do północnych rejonów Chin i osiadł na stałe w istniejącym od 377 r. u podnóża góry Shao Shi w prowincji Henan klasztorze Shaolin (Młody Las). Był patriarchą buddyzmu i równocześnie prekursorem odłamu Chan (Zen). Stworzył także zestaw ćwiczeń zwanych Shaolin Luo Han Shiba Shou (18 rak Luo Han czyli arhata buddyjskiego). Stanowiły one najprawdopodobniej początek systemu zwanego później Shaolin Chuan Fa, czyli sztuka pięściarska z Shaolin.

Przez tysiąc lat od 600 do 1600 roku rosła ona w siłę stając się jednym z najbardziej kompletnych i groźnych systemów bojowych świata. Oprócz samych technik walki „pusta dłoń” i różnymi rodzajami broni (zwłaszcza kije), buddyjscy mnisi rozwinęli i udoskonalili ćwiczenia walki zewnętrznej i wewnętrznej, sposoby medytacji, masażu, leczenia ziołami, teorię punktów witalnych, metodykę treningu.

Początki obcej dynastii mandzurskiej Qing (1644–1911) zwiastowały koniec potęgi klasztoru. Co prawda mnisi aktywnie uczestniczyli w próbach restaurowania narodowej dynastii Ming, ale świetność klasztoru już nigdy nie została przywrócona. W 1927 roku klasztor spłonął, ale już rok później w Nanjing powstaje Centralny Instytut Guo Shu. Wówczas to mistrzowie stylów północnych, tzw. *Pięści Północnych Tygrysów* podjęli próbę stworzenia nowego stylu z kilku innych wywodzących się z tej samej kolebki – klasztoru Shaolin. Nazwano go „*Długa Pięść*” (Changquan) dla podkreślenia takich cech charakterystycznych jak: specjalizacji w długim i średnim zasięgu, dominującej roli kopnięć, dynamicznej pracy ciała (wysoki, obroty, szybkie zmiany postawy), rozwoju siły zewnętrznej.

Styl ten uprawiany jest obecnie na Tajwanie, w USA i w Polsce, dokąd przeniósł go dr Yang Jwing Ming. Kwatera główna tej tradycyjnej wersji Chang Chuan znajduje się w Tychach (Ognisko TKKF „Chuan Shu”).

Obecnie w ChRL popularyzuje się również „*Długa Pięść*” ale w wersji zmodyfikowanej, przystosowanej m.in. do zawodów sportowych.

AB.

Piotrek Plewa i Tomek Zalewski dowiedzieli się o treningach kung-fu z ogłoszeń. Piotrek mówi o swojej decyzji wprost: „Zapisałem się, aby nabrać pewności siebie. Żeby nie trząść się, gdy pójdę wieczorem ulicą, że ktoś mi da w zęby...”

★ ★ ★

Na warszawskim Marysinie działa niezwykle ognisko TKKF o zwykłej nazwie „Stadion”. Za sprawą dyrektora Jana Brauna powstał tam Ośrodek Sztuk Walk Dalekiego Wschodu. Przed kilkoma laty ośrodek przejął, a następnie zaadaptował małą salę. Znajduje się w niej obecnie wszystko, czego potrzeba do ćwiczeń wschodnich walk, specjalny wystrój sali w stylu chińsko-japońskim dodaje szczególnego klimatu prowadzonym w niej zajęciom. Prawdziwe dojo!

Kilka razy w roku, gdy ogłaszane są zapisy, przed drzwiami sali stoi liczny tłum. „Stadion” przyjmuje chętnych do ćwiczeń w swoich sekcjach ju-jitsu, karate kyokushinkai, kick boks oraz kung-fu w trzech stylach: shaolin, ving-tsun i „*siedmiogwiazdowa modliszka*”. Ćwiczyć może każdy kto: opłaci składkę (4,5 tysiąca zł za trzy miesiące), nie popełnił grzechu karanego sądownie i wykaże się dobrym zdrowiem potwierdzonym badaniem lekarskim. Ponad dwudziestu instruktorów zdradza swą wiedzę o dalekowschodnich sztukach walki. Jednym z nich jest Andrzej Braksal nauczający kung-fu w wersji „Shaolin”.

Braksal od dwunastu lat ćwiczy sztuki walki, lecz zanim zainteresował się chińskimi stylami walki zamierzał zostać... koszykarzem. Kariery wielkiej nie zrobił, poziomu Jurkiewicza nigdy nie osiągnął, więc rzucił piłkę w kącie. Nie znosząc bezczynności, zaczął się ni stąd ni zowąd karate, które również uprawiano w AZS. Później poddał się modzie na kung-fu. Wietnamczyk Hainam, który przyjechał na studia do Polski, przez rok demonstrował wietnamską odmianę tej sztuki. Wietnamczyk nagle wyjechał, ciekawość pozostała. Braksal chcąc zdobyć większą wiedzę o nowo poznanej sztuce zdobył się na odwagę i poszedł do ambasady ChRL. Decyzja okazała się owocna. Zapalony adept king-fu pojechał na wielki międzynarodowy turniej wu shu organizowany w mieście Xian. Na własne oczy zobaczył wspaniałych mistrzów. Później jeszcze dwukrotnie przebywał w ChRL na miesięcznych kursach organizowanych przez Chińskie Stowarzyszenie Wu Shu i Chiński Instytut Badawczy Wu Shu.

W warszawskim ośrodku technik Shaolin można więc poznać od Braksala, styl ving-tsun propaguje Janusz Szymankiewicz, nauczaniem walk według stylu „*modliszki*” zajmuje się Sławomir Milczarek. Przed kilkoma laty, pod wpływem wyświetlanych filmów z Bruceem Lee, na zajęcia kung-fu zgłaszało się po kilkadziesiąt osób. Filmy wspaniale reklamowały dalekowschodni sposób walki, ale Braksal krzywi się na wspomnienie atrakcyjnych, kolorowych obrazów. Uważa, że filmy propagowały w nadmierny sposób brutalność, bezwzględność czyli to, czego mistrzowie nie pragną widzieć u swoich uczniów. Obecnie szal na naśladowanie ruchów Lee zmalał, lecz nadal jest wielu chętnych do odkrywania tajemnic kung-fu. Niestety z wielkiego tłumu, który pojawił się w ośrodku w dniu zapisów, po kilku miesiącach zajęć pozostaje garstka. Sześć lat temu zgłosiło się nagle do Braksala ponad trzysta osób. Z tamtej grupy ćwiczy do dziś zaledwie pięciu zapaleńców.

Dlaczego młodzi chłopcy, którym imponuje spryt, siła i przebiegłość w walce, dość łatwo się poddają, rezygnują z ćwiczeń? Braksal wylicza, że ze stuosobowej grupy pozostaje średnio jeden ćwiczący. Inni przychodzą z nastawieniem, że w krótkim czasie poznają mnóstwo użytecznych sposobów walk, liczą na wspaniałego instruktora, po którym żaden rywal nie przedstawi groźby nawet w ciemnej uliczce. Tylko nieliczni są świadomi, że kung-fu to beczka potu, lata żmudnych ćwiczeń, szare godziny spędzone w sali.

Pierwszy kryzys ogarnia ćwiczących po około dwóch miesiącach rozpoznawania

sekreów walki wręcz. Najbardziej niecierpliwi stwierdzają wówczas z goryczą, że ich wiedza i umiejętności nie wzbogaciły się do tego stopnia, żeby czymś zaimponować chłopakom z podwórka. Pozostali dochodzą do podobnych wniosków po około dwóch latach. Kto znieśnie pomyślnie obie próby, ten przepadł dla niezwyklej pasji. Nie potrafi wyobrazić sobie dalszego życia bez ćwiczeń w dojo.

Każdy nauczyciel posiada swoją metodę przekazywania wiedzy. Braksal od pierwszych zajęć wprowadza surowe obyczaje. Na sali zakazuje rozmów, wprowadza dyscyplinę, której przestrzegania pilnuje jak oka w głowie. Rygor, według jego zdania pełni kilka pożytecznych funkcji. Pierwszą jest rola siła, przesiewającego ludzi o małych i wielkich charakterach. Chłopak o skłonnościach chuligańskich nie znieśnie swego reżimu, szybko się ujawni, a tym samym zaniecha ćwiczeń.

Konfucjusz twierdził, że człowiek szlachetny stawia wielkie cele, natomiast prostak zmierza ku małym. Maksyma chińskiego mędrca doskonale się sprawdza podczas nauki kung-fu. Hultaj po sposobie podejścia do treningów szybko zdradzi swe praw-

dziwe oblicze. Wiedza o kung-fu chłopa rozpoczynających treningi jest przeważnie znikoma. I właśnie dlatego Braksal pragnie ich, że nie uczy bijatyki, lecz sztuki kung-fu w dosłownym tłumaczeniu to perfekcja, droga osiągnięcia czegoś w sposób doskonały. W metodach walki najwyższym stopniem wtajemniczenia są ataki na punkty witalne. Chcąc atakować perfekcyjnie, należy najpierw znać punkty witalne. W celu potrzebna jest szeroka znajomość anatomii chińskiej medycyny ziołowej i tak dalej. Tę wiedzę, oprócz opanowania energii wewnętrznej, posiadli mistrzowie. Mistrz poszczególnych szkół są często siłą u schyłku życia. Dowodzi to, że nie sposób fizyczna świadczą o perfekcji, w kunszcie. Doskonałość osiągnęli dzięki bokiej wiedzy o człowieku, dzięki doświadczeniu i doskonałym opanowaniu energii wewnętrznej.

Obecnie istnieje na świecie wiele szkół, które przekazują kung-fu tradycyjnie, według nauki jakiegoś mistrza. Mistrz Braksala, według którego naucza tradycji kung-fu, jest Yang Jwing Ming. Mistrz mieszka obecnie w USA i rozsyła

CHIŃSKA KUCHNIA



Na zajęciach w ośrodku.

Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

BIĄŁE DIABŁY



wiecie swoich uczniów – instruktorów. Braksal uważa, że prawdopodobieństwo iż kiedykolwiek wyrośnie w Polsce mistrz jakiegos stylu kung-fu jest niezmiernie małe, wręcz niemożliwe. Żeby zdobyć wiedzę umiejętności mistrza trzeba rosnąć u boku mistrza, być przy nim jak giermek przy ycerzu.

Można natomiast osiągnąć ogromną wiedzę nie tylko o sztukach walki nazywanych kung-fu, ale również o tajemniczej kulturze „państwa Środką”. Kandydaci na championów w zadawaniu ciosów pięścią i nogą, przychodząc do ośrodka na początku nie marzą o zdobyciu większej wiedzy o dalekim kraju. To pragnienie, jako zwykła ciekawość ludzka, pojawia się później niczym worodka odkrywającego świat. W celu teoretycznego uzupełnienia treningów powstał przy ośrodku Klub Miłośników Kultury Dalekiego Wschodu „Tao”. W klubie wyświetlają filmy, zapraszają ciekawych ludzi, próbują poznać kuchnię, a nawet i język chiński.

Czy style kung-fu są sportem czy sztuką walki? Braksal twierdzi, że Krajowa Rada Instruktorów Kung-fu Wu shu opowiada się raczej za sztuką. Uważają, że zawody sportowe nie są głównym celem w ich praktycznych naukach. Wyczynowe podjęcie spowodowałoby, że zajęcia nabrałyby selekcyjnego charakteru. Instruktorzy wyszukiwali by najlepszych, najbardziej zdolnych, zaniebując w szkoleniu najsłabszych i przeciętnych. Idea kung-fu zakłada proces doskonalenia się pragnie natomiast być bliższą dla wszystkich ludzi. Kung-fu można uważać za rekreację fizyczną, za sztukę, za ciekawą formę spędzania czasu, za filozofię życiową, a także za sport.

W części świata pojedynki według stylów kung-fu wu-shu traktuje się jako prawdziwy sport nie inny od boks czy zapasów. Sport o „okno na świat”, daje możliwość nawiązywania kontaktów z innymi federacjami. Polacy uprawiający kung-fu starają się zatem nie wypaść ze sportowego nurtu, mają wyczynowców i swoją reprezentację.

Typowy trening przeprowadzany przez Braksalę rozpoczyna się i kończy medytacją w siadzie na piętach. Na początku zajęć rozgrzewka z klasycznym zestawem ćwiczeń jakich nie brakuje na szkolnych lekciach wf. W części specjalistycznej – pompy na nadgarstkach, ćwiczenia na siłę nóg, następnie doskonalenie pojedynczych technik, kombinacje technik, później formy. Finałem niektórych treningów są sparringi, w których walczący otrzymują specjalne zadania, na przykład atak jedną ręką, atak dwiema rękami itp. Po dobrym przygotowaniu treningowym na niektórych lekcjach dochodzi do wolnych walk. Dopuszcza do nich Braksal tylko tych, którzy zgłębiali tajemnice kung-fu co najmniej dwa lata, przepustką do walk-zadaniowych jest półtora roku zaprawy. Najbardziej zaawansowani w sztuce doskonalą się także w ćwiczeniach z bronią. Z 18 rodzajów broni do kung-fu w naszym wydaniu używa się cztery: kije, miecze, włócznie i szable.

Ochroniacze podczas walki wręcz przypominają sprzęt ochronny kick bokserów: kaski na głowach, rękawice na rękach. Różne, w zależności od uprawianego stylu, ubierają adepci kung-fu stroje. Dominują czarne spodnie, natomiast górna część odzieży u jednych przypomina tradycyjne chińskie mundurki, u innych bawełniane koszule. Niektórzy w celu oznaczeń zakładają szarfy, inni stopnie wtajemniczenia oznaczają belkami. To wszystko jest sprawą umowną, bo w tradycyjnym kung-fu nie stosowano oznaczeń. Tam panowała hierarchia podobna do rodzinnej.

★ ★ ★

Piotrek Plewa i Tomek Zalewski są jednymi z tych, którzy we wrześniu zapisali się na zajęcia w ośrodku. Wybrali styl ving-tsun, chociaż nic o nim nie wiedzieli. Mówią, że kung-fu ogromnie się im spodobało. Zapewniają że zniosą wszystkie kryzysy i nauką się nie tylko metod walki. Wyjdą z sali jako ludzie mocni o psychice twardej jak skała.

LECH UFEL

Od dłuższego czasu żyjemy w okresie wzajemnego przenikania się kultur. Szczególnie jest to widoczne w niezwykle teraz popularnych, głównie w Europie i Ameryce Północnej, sportach dalekowschodnich.

Ludzi stojących z boku nieco przeraża liczba ich odmian, różnorodność stylów, skomplikowanych, często sprzecznych regulaminów. Jest rzeczą zrozumiałą, iż w dobie skomercjalizowania życia codziennego społeczeństwa Europy Zachodniej oraz państw bogatych od lat co najmniej kilkunastu zafascynowane są sportami walki wywodzącymi się z Japonii, Chin i Półwyspu Koreańskiego. Przypuszczam, iż owa fascynacja w pierwszym okresie polegała na swojego rodzaju absolutnie nowej otoczce psychologicznej, w której na Dalekim Wschodzie toczono walki i pojedynki, posiadające wielowiekową tradycję.

O Japonii, jej kulturze i filozofii wielbiciele juda, kendo czy zwykłych opowieści o samurajach wiedzą stosunkowo dużo. Natomiast jakby w cieniu pozostają tajemnicze i do nie końca zrozumiane problemy przygotowań psychofizycznych sportu największego państwa Dalekiego Wschodu, a mianowicie Chin. Być może właśnie z tych powodów europejscy zwolennicy walk pochodzących z tak pełnego tajemnic rejonu świata są podzieleni, skłóceni i pełni wrogości wobec siebie. Odnoszę wrażenie, iż są to ludzie, którzy rzecz całą rozpatrują od końca. Sama bowiem walka, bezpośrednie starcie z nieprzyjacielem zgodnie z mentalnością ludzi Wschodu jest aktem końcowym, sprawdzeniem długoletnich ćwiczeń, pracy nad sobą, pokonywaniem własnej słabości, stosowaniem wszelkiego rodzaju form autosugestii, psychoterapii itp.

W Europie jakby trochę zapomniano o drodze do celu i w uprawianie wschodnich sztuk walki zastosowano metodę – cel uświęca środki. Można powiedzieć, że wylewa się dziecko razem z kąpielą. Zatrącono najwartościowsze cechy przygotowań do wielokrotnionego wysiłku fizycznego i psychicznego myśląc głównie o tym, aby jak najszybciej wzbici się na wyżyny popularności, wejść na łamy gazet, stać się idolem.

Wróćmy jednak do spraw związanych z państwem Środką. Wielki myśliciel chiński Lao-Tse twierdził, „że złu panującemu na świecie winna jest kultura i cywilizacja, stworzone przez człowieka, które przynoszą wbrew ludzkim zamierzeniom tak potworne rezultaty”. Wedle niego, aby osiągnąć maksimum spokoju i szczęścia na ziemi jest dążenie do zespolenia człowieka z Tao, to jest z drogą, po której wędruje „wieczne Niebo”. Lao-Tse doszedł do przekonania, że droga każdego z nas musi harmonizować z Tao, jeżeli ma osiągnąć doskonałość w każdej dziedzinie. Odchylenie od tej drogi sprowadza klęski, nie-szczęścia w życiu jednostek, społeczeństw i państw. Filozofia wyznawana przez mistrza Lao-Tse wzbudza zdumienie do dziś. Oto jeden fragment jego myśli: „Nawet najpiękniejsza broń to tylko narzędzie klęski. Wszystkie stworzenia jej nienawidzą. Broń to narzędzie nędzników, a nie szlachetnych”.

Od myśli tego filozofa prosta już droga do zrozumienia dlaczego właśnie w Chinach od tak dawna rozwinęła się sztuka walki bez użycia broni.

W świadomości Chińczyków w przeciwieństwie do sposobu myślenia europejskiego, filozofia, religia, medycyna i swoisty sposób pojmowania życia mają w sobie coś fascynującego. Jako przykład podajmy fakt, iż w oficjalnej chińskiej medycynie uprawianej przez lekarzy świeckich, niekoniecznie związanych

z organizacjami religijnymi, ogromną rolę odgrywały założenia fizjologiczno-filozoficzne.

Dlatego być może dla nas „białych diabłów” – bo tak nazywano na Wschodzie Europejczyków, poznanie głębi istoty przygotowania psychofizycznego do wysiłku i walki jest w dalszym ciągu sprawą nieznaną i tajemniczą. Rozpatrzmy taki oto przykład. Pierwsze informacje o stosowaniu akupunktury dotarły do Europy w końcu XVII wieku poprzez zakonników francuskie ale dopiero w XX wieku zaczęto ją na Starym Kontynencie poważnie traktować. W jednej z legend chińskich z 3 tysięcy lat przed naszą erą opisane jest zdarzenie przedziwne. W czasie bitwy strzela nieprzyjaciel ugodził wodza. Gdy usunięto strzałę ze zdumieniem stwierdzono, że zniknęły bóle pleców dręczące go chronicznie. Od tej pory lekarze zaczęli badać różne punkty na ciele człowieka. I tak to się zaczęło...

Oczywiście medycyna chińska nie opierała się wyłącznie na akupunkturze. Rozwinęły się tam inne metody leczenia i zabiegi uciskowe, tak zwane amma-masaż czyli masaż oparty na południkowym systemie krążenia energii oraz na funkcji życiowych ciała, zwanych „tsuo”. Do innych metod zaliczyć można ćwiczenia jogi typu – „hatha” czyli gimnastykę zdrowotną.

Próbując rozpatrywać przygotowania i ćwiczenia do walki zarówno dawnych jak i obecnych sportowców chińskich należy brać pod uwagę fakt, iż tamtejsza medycyna od najdawniejszych czasów uważała znajomość biorytmów za bardzo ważny element w działalności człowieka. Najłatwiejszym do rozpoznania jest biorytm krążenia energii w ciągu doby. W tym okresie każdy z 12 południków regulujących ma swój dwugodzinny czas maksymalnego przepływu energii oraz dwugodzinny przypływ słabszego. W okresie maksymalnego przepływu energii należy działać uspokajająco i rozpraszająco a w czasie dwugodzinnych godzin – pobudzająco. Można powiedzieć – gotę i bardzo ważną wskazówką dla trenerów i zawodników, należy bowiem lekceważyć domniemań o istnieniu w naturze jakiegos „zegara” biologicznego regulującego działalność organizmu w cyklu księżycowym lub słonecznym. Gdy zmieni się kwadry księżycy soki roślin idą w górę, gdy księżyc „maleje” soki spływają w dół do korzeni, co notabene wykorzystują ludzie zajmujący się zbiorami ziół. Skoro przypływ i odpływ mory oraz oceanów zależny jest także od cyklu księżycowego istnieje duże prawdopodobieństwo, że ludzie także podlegają owym prawidłowościom.

Podobnie tajemniczo ma się sprawa z energią. Zgodnie z teorią lekarzy chińskich energia krąży w kanałach zwanych „ching”, ściśle ze sobą powiązanych.

Można być pewnym, że doświadczenia empiryczne medycyny chińskiej są i były wykorzystywane w przygotowaniu treningu i doborze terminu walki. Jeżeli do tego wszystkiego dodać umiejętność koncentracji podyktowaną czynnikami reno-filozoficznymi, to nie należy się dziwić tak wyspaniałej i ności stosowania autosugestii i samostrowania własnym ciałem przez ludzi Wschodu.

Dziś, gdy słyszymy o pełnym kontakcie, półkontakcie i „fajterach”, łamignatach i mistrzach, nie wiadomo czy o cyrkowej czy sportowej, ogarniają człowieka wątpliwość. Oczywiście jeśli ktoś chce, może się pasjonować rosnącym grzyby po deszczu stylami i podstylami walk wschodnich i walczących między sobą zjadając z ogromnym poświęceniem i walczących między sobą zjadając z ogromnym poświęceniem. W pewnym sensie są oni mistrzami walki. Ale czy posiadają minimum wiedzy jaka powinna towarzyszyć przygotowaniu do pojedynku? Czy wiedzą po co to robią?

JAN TRAWIŁ

Na 11 grudnia wyznaczono walkę Marka Piotrowskiego z Lowellem Nash, piątym profesjonalistą kategorii do 82,7 kg na liście ISKA.

„Budo”: Kim jest twój przeciwnik?

Piotrowski: – Nash to amerykański Murzyn mający za sobą również pojedynek o mistrzostwo świata. Należy do elity tej bardzo silnie obsadzonej kategorii wagowej. Fakt, że udało się zakontraktować dla mnie taki sprawdzian jest wielkim sukcesem.

– Do tej pory walczyłeś w niższej kategorii...

– W Chicago, od samego początku mojego tutaj pobytu, zwracałem więcej uwagi na trening siłowy. Brakowało mi potężnego ciosu. Efekt pracy pod okiem Eda Yoshimury widoczny był już w walce z Handeganiem – wszak było to moje pierwsze w karierze zwycięstwo przez nokaut. Dziś jestem już przygotowany do startów w wyższej kategorii.

Druga próba

– Czy po doświadczeniach amerykańskich zmieniłeś coś w swoim treningu?

– Przed walką w Rockford brakowało mi treningów na tarczy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł się w naszej sekcji pan Hubert Okrój, który w Polsce był asystentem Andrzeja Gmitruka. Zajęcia z nim dają mi poczucie większej pewności. Ponadto doszły do skutku sparingi z zawodowymi bokserami. Korzyści ogromne.

– Rozmawiamy przed walką z Nashem. Jak oceniasz swoje szanse i co da ci ewentualne zwycięstwo?

– Walka może trwać przez 10 dwuminutowych odsłon i nie mam wątpliwości, iż jestem przygotowany kondycyjnie, żeby je „prze-walczyć” w dobrej formie. Aby myśleć o zwycięstwie będę jednak musiał walczyć znacznie szybciej i agresywniej niż z Handeganiem, lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Wygrać po prostu muszę i na tym zwycięstwie nie kończą się moje ambicje. Zwycięstwo może promować mnie na 5 miejsce na liście ISKA.

ALEKSANDER BILIK

„Wiem że nic złego mi się stać nie może” – hasło obowiązuje przy wszystkich dotychczasowych pojedynkach nie powinno stracić na aktualności i teraz, tyle że...

Naprzeciwko stał facet w przepoczonej koszulce i wpatrywał się w Przemka Saletę wzrokiem wygłodzonej tygrysy, której zaraz po wymordowaniu młodych wstrzyknięto potężną dawkę adrenaliny. Nazwisko Marek Piotrowski brzmiało jeszcze wówczas dla Przemka zupełnie obco, ale wejście w hipnotyczny krąg roztaczany przez słynnego fajtera w tym samym stopniu przed sparringiem co walką o finał mistrzostw świata, musiało robić wrażenie.

Pierwszy poniedziałek czerwca 1987 roku, pierwsza rozmowa z trenerem Andrzejem Palaczem: „chcesz walczyć chłopcze w grupie zaawansowanych? W porządku, obejrzyj cię”. Zaczęło się...

Sformułowania typu „zaraz po sygnale trenera”, albo „w pierwszych sekundach” byłyby tu bardzo mylące. Pod wściekłym obstrzałem znalazł się wcześniej niż zdołałby o tym pomyśleć. Te ciosy nie miały może siły końskich kopnięć, ale huraganowa częstotliwość serii bitych we wszystkich płaszczyznach z rąk i nóg wywoływała spustoszenie.

„Nie łam się młody, masz jeszcze czas” – słowa rzucone przecież w dobrej wierze przez zawodnika stojącego najbliżej miejsca, z którego Przemek musiał się podnieść, podrażniły ambicję. „Ani kroku w ty!” – zacisnął zęby i młóćąc rękoma równie mocno, co chaotycznie wytrzymał z zamkniętymi oczami pozostałe do końca sekundy.

„Daj spokój Marek, zniechęcisz faceta, przecież on dzisiaj po raz pierwszy do nas

przyszedł” rozpoznał głos człowieka zwanego „Pancernikiem”. Saleta stał w sąsiedniej kabinie i było mu głupio, że podsłuchuje, a jednak z uruchomieniem prysznica wstrzymał się jeszcze chwilę. „Przepraszam – usłyszał od Piotrowskiego pięć minut później – trochę mnie poniosło i przesadziłem”. „Ale nie, nie – odpowiadał pospiesznie – wszystko było w porządku”. Słowa wydawały się nierównie bardziej przykre od ciosów. Obiecał sobie, że pretekstu do podobnych przeprosin nie dostarczy już nigdy więcej.

★ ★ ★

„Skąd jesteś kolego? Ile masz lat? Jak długo trenujesz? Niecałe dwa lata? To chyba niemożliwe!” – dawno nie widział już tak podnieconego człowieka. Był luty 1988 roku i trener pięściarzy Stocznio-wca Gdańsk, z którymi na obozie w Cetniewie sparowała kadra kick bokserów, gotów był do zawarcia transakcji na pniu.

Dla Przemka zaczęło się od remisowego pojedynku z Kuczkowskim, sklasyfikowanym na czwartym miejscu w Polsce wśród bokserów wagi ciężkiej. „Ten facet ma potężną kontę, w ostatniej ligowej walce zno-kautował przeciwnika po 46 sekundach” – uprzedzano Saletę lojalnie, kiedy stawał na-

przeciwko Cichockiego, zbijającego własnie do półciężkiego. Do trzeciej rundy nie doszło. Przeciwnik Przemka „lykał” niemal wszystko i po sześciu minutach tylko gong uratował go przed nokautem.

Na propozycję walki w lidze Przemek odpowiedział jednak – nie! Owszem, w przyszłym roku ma zamiar wystartować w pięściarskich mistrzostwach Polski, ale o zmianie dyscypliny nie chce nawet słyszeć. Kick boxing jest przecież naprawdę bogatszym sportem. Nie o pieniądze rzecz jasna idzie. Skoro nawet mistrz świata nie korzystał w kraju ze stypendium, mówienie o mamonie w przypadku kick boksera byłoby śmieszne. Kick boxing jest bogatszy w trudności techniczne. Konkurencja pewnie ciągle jeszcze znacznie mniejsza, ale tu trzeba naprawdę więcej umieć, żeby zostać mistrzem. To ciągnie, ciągnie jak magnes.

★ ★ ★

Na potworną kontę Węgra nadział się w drugiej rundzie. „Wiedziałem, że nie mogę dopuścić do liczenia. Przez te osiem sekund Peko uwierzyłby w siebie, a ja, kto wie, może spaliłbym się psychicznie”. Rzu-

WRÓŻBA



Zdjęcia: GRZEGORZ SAJDAK

Przemysław Saleta, z lewej, podczas sparingu.

MAREK FRYSZ
telefonuje z Wiednia

Podróż

Facet, który nie potrafi przegrać, nazywa się Alfie Lewis i jest dwukrotnym mistrzem świata i Europy, najwybitniejszym specjalistą przerywanej wersji kick-boxingu – semi contact. Po kilku-nastu sekundach walki finałowej z przedstawicielem gospodarzy, podniósł rękę do góry uznając się za pokonanego. Oto największa sensacja imprezy...

Znakomity Brytyjczyk złamał nogę podczas koncertu, nie trenował jak należy przed włoskim championatem. Z zupełnie innych, niezawinionych przez siebie przyczyn, czteroosobowa reprezentacja Polski wystąpiła na matkach w Wenecji nie w pełni przygotowana do walki. Punktualnie o dziewiętnastej, kiedy dobiegała do końca ceremonia ważenia zawodników, a zaczynała się oficjalne losowanie, byłem jedynym Polakiem w hali. Nasza ekipa jechała po trzydziestogodzinnej podróży pociągiem, czwórka pod wodzą Andrzeja Palacza dotarła około północy do hotelu, by dziewięć godzin później rozpocząć swoje walki. Możemy mówić o wielkim szczęściu, iż organizatorzy przyjęli naszą prośbę. Zgodzili się na dodatkową wagę rano i dopuszczenie do startu naszych reprezentantów.

Marek Drażdżyński, dwudziestolatek z Poznania zdobył brązowy medal.

W pierwszej walce zrewanżował się Turkowi İsa Acarowi za porażkę w drugiej rundzie wersji semi contact. Po przegranej 5:11 (w semi punktuje się kolejne techniki), tym razem pewne 3:0 (w light contact decyduje głosowanie sędziów, tak jak np. w boksie). Kolejnym rywalem okazał się Anglik Joe Tierney, który również nie potrafił sprostać Mar-

kowi przegrywając w oczach wszystkich sędziów obie dwuminutowe rundy. Pojedynek o medal w wadze do 63 kilogramów potwierdził opinie trenera Andrzeja Palacza, iż po nabraniu niezbędnej rutyny, Drażdżyński może liczyć na poważanie w Europie, także wśród full-contactowców, gdzie konkurencja jest najsilniejsza.

Największym pechowcem ekipy okazał się Czarek Podraza, który pozbawiony możliwości kontrolowania wagi (słynne 30 godzin w pociągu) zmuszony był wystąpić w kategorii do 74 kilogramów, walczyć ze znacznie wyższymi przeciwnikami. Przegrał oba pojedynki z Irlandczykiem Royem Bakerem w wersji semi i Szwajcarem Robertem Steinem, druga porażka była dosyć problematyczna stosunkiem głosów 2:1 a obaj pogromcy Czarka zdobyli potem brązowe medale.

W wadze do 57 kilogramów wystawiliśmy dwóch reprezentantów. Bogdan Rutkowski, ćwiczący na co dzień taekwondo ITF, przegrał wyraźnie, 1:6, już w pierwszej potyczce trafiając na późniejszego mistrza Europy, utytułowanego Włocha Mauricio Cuccu.

Pozostawiając start w wersji semi contact młodszemu koledze najbardziej utytułowany zawodnik naszej ekipy, Piotr Siegoczyński skoncentrował się na występach w light contact. Wynik 0:3 już w pierwszej walce z reprezentantem gospodarzy Gianni Morini mógł sugerować gaśnięcie gwiazdy byłego mistrza świata i Europy. A jednak twierdząc, że gdyby nie trudy podróży, byłby w stanie pokonać Moriniego, oszukano go przez sędziów w finale, najlepsze go zawodnika wagi 57 kg.

WYNIKI:

Semi contact – kobiety

Waga do 50 kg: 1. Engrich (Węgry), 2. Graham (W. Brytania), 3. Aversano (Włoch Schiller (RFN)).

55 kg: Wnglert (RFN), 2. Bonazza (Włochy), 3. Sager (Szwajcaria), Longhr (Irlandia Pn.).

60 kg: 1. Vitali (Włochy), 2. Howell (RFN), 3. Bene (Węgry), Murphy (Irlandia Pn.) powyżej 60 kg: 1. Zennari (Włochy), 2. Bady (Węgry), 3. Dent (Irlandia Pn.) Ril (W. Brytania).

Semi contact – mężczyźni

57 kg: 1. Cuccu (Włochy), 2. Drexler (RFN), 3. Schatz (Austria), Montag (Francja).

63 kg: 1. Sambataro (Włochy), 2. Polnar (Węgry), 3. Acar (Turcja), O'Neill (Irlandia Pn.).

69 kg: 1. Arnona (Włochy), 2. Ulbricht (RFN), 3. Hortobagyi (Węgry), Bods (Belgia).

74 kg: 1. Williams (W. Brytania), 2. Hugyetz (Węgry), 3. Gallozi (Włochy), Bal (Irlandia Pn.).

79 kg: 1. Benoni (W. Brytania), 2. Soos (Węgry), 3. Plattner (Austria), Yaka (Turcja) 84 kg: 1. Surian (Włochy), 2. Lewis (W. Brytania), 3. Gunar (Turcja), Kato (Węgry).

powyżej 84 kg: 1. Boyce (W. Brytania), 2. Brunner (Szwajcaria), 3. Dunler (Irlandia Pn.), Trnad (Austria).

Light contact – mężczyźni

57 kg: 1. Jakob (RFN), 2. Moridi (Włochy), 3. Crane (Irlandia Pn.), Balogh (Węgry) 63 kg: 1. Cosentiro (Włochy), 2. Briesenick (RFN), 3. DRAZDŻYŃSKI (POLSK Johnson (Irlandia Pn.).

69 kg: 1. Dwyer (W. Brytania), 2. Pattacino (Włochy), 3. Proudou (Francja), Mort (Węgry).

74 kg: 1. Kunzler (RFN), 2. Hugyetz (Węgry), 3. Steiner (Szwajcaria), Gibb (Irlandia Pn.).

79 kg: 1. Mc Kenzie (W. Brytania), 2. Lonnedy (Belgia), 3. Lindemann (RF Haberl (Austria).

84 kg: 1. Mortin (RFN), 2. Katona (Węgry), 3. Nordal (Norwegia), Milan (Włochy) powyżej 84 kg: 1. McKenzie (W. Brytania), 2. Hellmann (RFN), 3. Makawaya (Egia), Szucs (Węgry).

„Ten chłopak chyba wygra...”

cil się na przeciwnika ze zdwojoną energią. Tak szybko, żeby nie dać czasu sędziemu na podjęcie decyzji. Tego nauczył się jeszcze od Piotrowskiego. Po ciosie, który zbilby z nóg konia, nie pokazać grymasu bólu i przyspieszyć, wyraźnie przyspieszyć.

Co było potem? Na wiosennym turnieju w Komli Polacy na trybunach dorównywali niemal liczbą Madziarom. Obok tradycyjnych okrzyków „le go!”, „na kolana!”, było też chóralne „sto lat” i narodowe symbole. Coś co powodowało, że zapominał o bólu w szczękę, a po plecach przechodziły dreszcze.

„Ty i Piotrowski, byliście dobrzy dzisiaj” – usłyszał od mówiących po polsku kibiców – „dla was będzie bankiet, a po nim Cygan-ka na deser”. „Jak to? Przecież mam narzeczoną, której nigdy nie zdradziłem...” – tłumaczył przerażony Marek salwując się ucieczką do hotelu. A Przemek? On w wieku dwudziestu lat wygrał swój pierwszy turniej. Turniej w full contact. Poczul smak zwycięstwa, dumę...

Wiedział już, że kiedy kolezdy z drugiego roku handlu zagranicznego na warszawskiej SGPiS wyjadą na „saksy” wakacyjne za granicę, on będzie trenował. Mistrzostwa Europy to cel ważniejszy niż pieniądze. Czy wygra? Skromność nakazuje powiedzieć że nie wie, ale: „dla mnie liczy się tylko pierwsze miejsce!”.

★ ★ ★

„Jaki sport pan uprawia – usłyszał od sekretarki, której przedkładał podanie o indywidualny tok studiów – bo dziekan mówił, że szarpany. Czy to prawda, że pan kopie się i bije?”

Naprawdę trudno uwierzyć. Olbrzym o stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrach wzrostu i dziewięćdziesięciu paru kilogramach czystej siły robi wrażenie najbardziej łagodnego człowieka pod słońcem. Nigdy nie miał w sobie agresji. Jeszcze w żłobku tarmoszony przez „kolegów” za włosy, słabszy fizycznie od rówieśników w podstawówce, nigdy nie pałał żądzą odwetu. Jest spokojny, tyle że, jeśli chciałby już sprawdzać się w sporcie, to w rywalizacji bezpośredniej. Nie tak jak podczas biegu na czterysta metrów (w liceum był najlepszy w szkole na tym dystansie), podczas którego staje się obok, a nie naprzeciwko rywala. Taka sytuacja pozwala na margines niedomówień.

Tata, dyrektor kombinatu rolnego i mama, germanistka, pogodzili się już z pasją syna. Tym bardziej że uprawiając dyscyplinę, o której można wyczytać niekiedy, iż jest bardziej urazogenna od pojedynków na no-

że, nie miał jeszcze nawet siniaka na twarzy. Skoro czuje się z tym szczęśliwy... Oby tylko nie odbiło się to na studiach. Ale na studiach jest również więcej niż dobrze.

★ ★ ★

„Ten chłopak to wygra i zostanie mistrzem!” – Wojciech Cieślak, jeden z najbardziej utytułowanych polskich kick bokserów stawia na Przemka. A gwarancje? Popularny „Kajak” masuje się po obolałej głowie: „parę godzin temu sparowałem z Saletą, on już dziś jest lepszy ode mnie”.

W jugosłowiańskiej miejscowości Trogir, 19 listopada Przemek Saleta reprezentował polski full contact w wadze superciężkiej. Czytelnicy „Budo” znają już wyniki tej imprezy. W przeciwieństwie do autorów – cykl wydawniczy powoduje, iż zmuszeni jesteśmy obstawiać, jak w ruletce. Wierzymy w medale, ale gdyby wygrał Przemek, byłoby szczególnie przyjemnie.

Jest pierwszym naturalnym dzieckiem polskiego kick-boxingu, który ma szansę na wielki sukces. Mistrzowie świata zaczynali od karate. Piotrek Siegoczyński stawiał pierwsze kroki w stylu shotokan, Marek Piotrowski kyokushinkai. Obaj nigdy nie ukrywali, jak bardzo było im pomocne w przyszłej karierze. Wielu świetnych dziś zawodników wywodzi się również z boks. Nazwiska takie jak Waldek Hyrlik czy Piotr Falender są tu najlepszym przykładem.

Przemek, jeśli nie liczyć dwumiesięcznej, amatorskiej raczej przygody z taekwondo tuż przed maturą, ze sportami walki zetknął się dopiero na studiach w Warszawie. Inteligentny chłopak, którego pasją poza sportem są języki obce – już dziś świetnie radzi sobie z niemieckim i angielskim – znakomicie pasuje do środowiska, w dużej mierze wywodzącego się z kręgów akademickich. Do środowiska, które dopiero zdobywa sobie powiew świeżości i spore już sukcesy. Przemek może stać się jego symbolem. Marek Piotrowski – legenda. Obaj mają to jeszcze przed sobą.

Dlaczego? W takich wypadkach zwykle mówi się o morderczej pracy nad sobą, stalowym charakterze. Wszystko to prawda, ale kiedy mowa o Przemku, są dowody. W rodzinnych stronach Salety, we wsi Waliszów obok Bystrzycy mieszka słynny w okolicy jasnowidz – Filipek. „Jeden z twoich synów będzie kiedyś sławny!” – zawyrokował, kiedy mama pokazała zdjęcia swoich pociech. Czy znajdzie się ktoś, kto podważy taki argument?

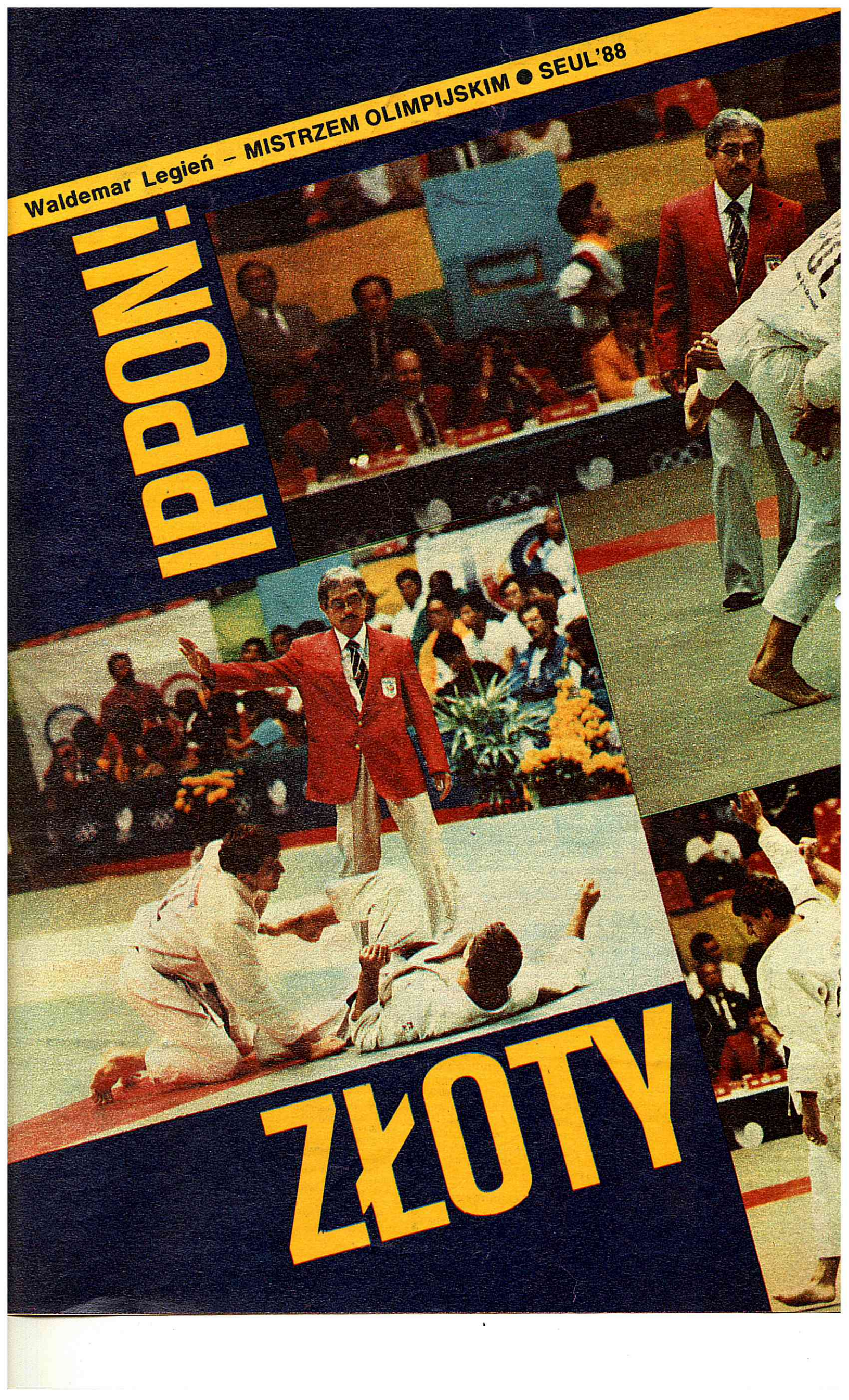
ALEKSANDER BILIK

P.S. Przemysław Saleta zdobył w Trogirze mistrzostwo Europy.

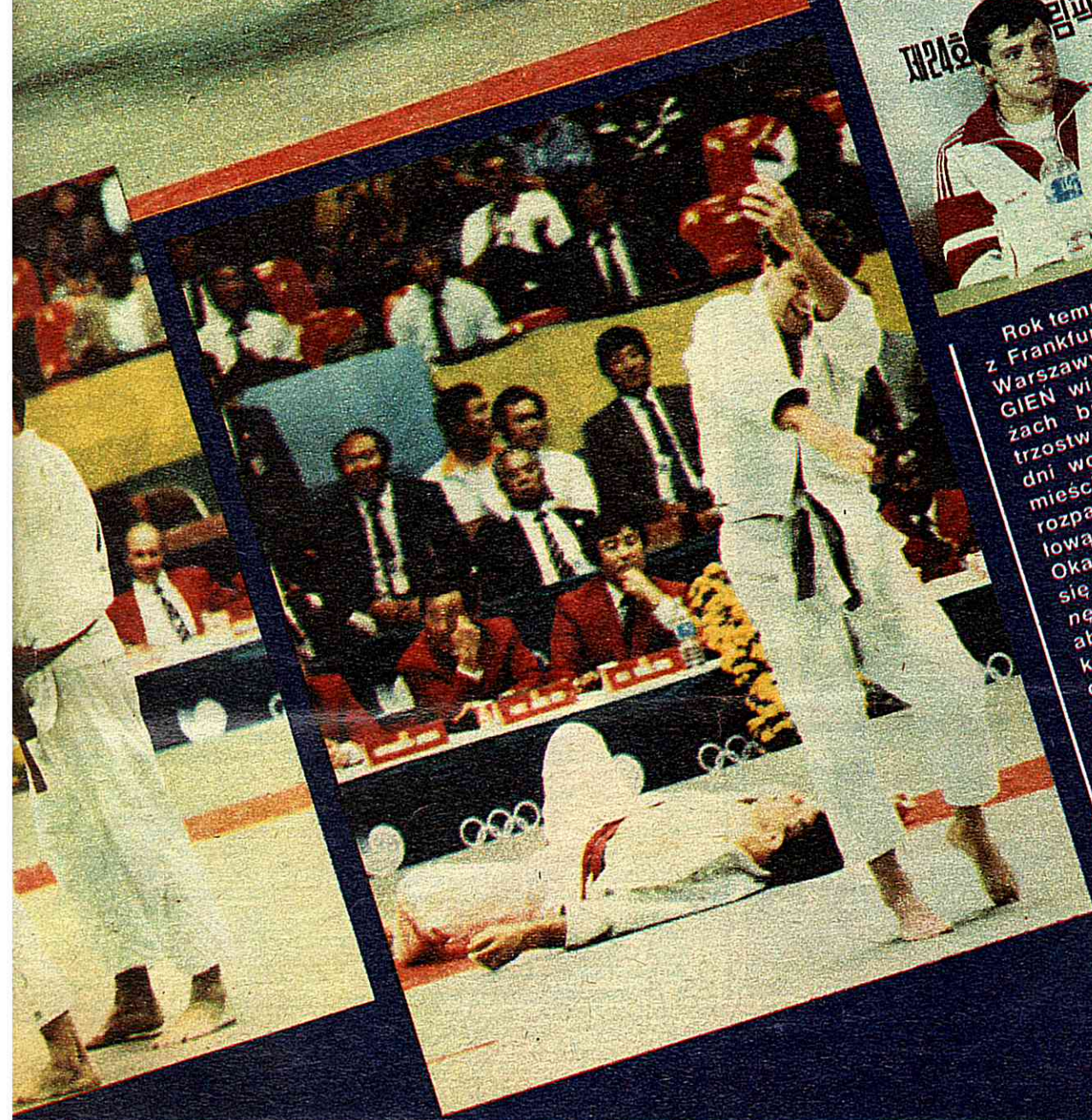
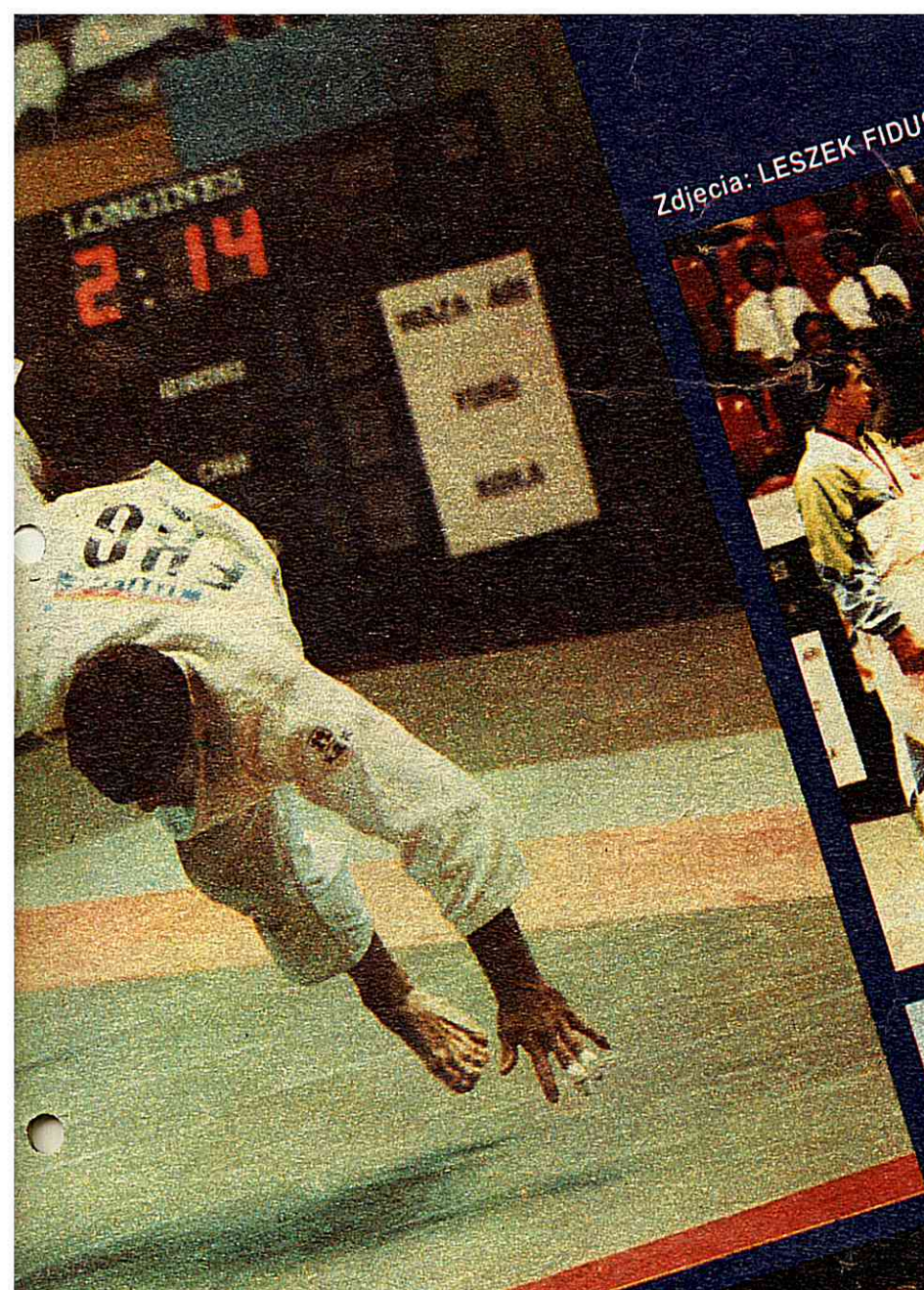
Waldemar Legień – MISTRZEM OLIMPIJSKIM ● SEUL'88

IPPONI!

ZŁOTY



Zdjęcia: LESZEK FIDUSIEWICZ



Rok temu lecieliśmy razem z Frankfurtu nad Menem do Warszawy. WALDEMAR LEGIEN wioził w swoich bagażach brązowy medal mistrzostw świata zdobyty dwa dni wcześniej w gościnnym mieście Essen i jeszcze raz rozpamiętywał swoją półfinałową walkę z Japończykiem Okadą. Rozmowa odbywała się w stylu „już ja go dopadnę”, a Waldek modlił się tylko, aby dopisało zdrowie i słynne kamienie nerkowe nie obudziły się znowu z letargu. Mam dziewięć miesięcy przygotowanie się do igrzysk w Seulu: powiedział Legien i żadnych wątpliwości. To wyjadę z Korei jako olimpijczyk!



Chcielibyśmy więcej takich „wyjść po złoto”...

Zdjęcie: LESZEK FIDUSIEWICZ

Była to jedyna znana mi deklaracja polskiego sportowca, wyznanie wiary, pewność spodziewanego sukcesu. Judoka bytomskich Czarnych słowa dotrzymał! W Seulu nie miał sobie równych w wadze do 78 kilogramów, a jego wyczyn można śmiało nazwać historycznym. Czy była to niespodzianka? Nie! Ci, którzy byli blisko kadry Ryszarda Zieniawy mieli przekonanie o tym, iż Waldek ma 90 procent szans na medal, a 75 na medal koloru złotego...

Gdy ten numer „Budo” dotrze do rąk Czytelników rok olimpijski będzie się zbliżał do końca. W hotelu „Europejskim” w Warszawie pojawia się uczestnicy Balu Mistrzów Sportu, redakcja „Przeglądu Sportowego” ogłosi wyniki Plebiscytu na 10 heroów sezonu 1988... Bardzo bym chciał, doceniając osiągnięcia i klasę zapaśnika Andrzeja Wronskiego, aby Waldek Legień był triumfatorą tego konkursu!

Jest to również marzenie całego judockiego środowiska, które przez całe lata żyło w dość dziwnym położeniu. Z jednej strony sportowa władza, i kibice także, doceniała solidną formację judoków, która zawsze w ostatnim osmioleciu dostarczała sporo medali.

Europa, Europa! Tytuły championów, srebrne i brązowe krawki. Ale to było mało! Nikt bowiem ze współczesnej generacji naszych mistrzów *tatami* nie przebił osiągnięć Antka Zajkowskiego (olimpijskie srebro w Monachium 1972), ani również srebra „Misia” Wojtki Reszki, który na mistrzostwach świata Maastricht 1981 dopiero w finale wagi open został pokonany przez Yasuhiro Yamashite.

Wiadomo więc było, że przełomowy będzie rok 1988. W Seulu musiał procentować kapitał pracy włożony przez trenera Ryszarda Zieniawę, musiał eksplodować talent Waldka Legienia, upor i doświadczenie Janusza Pawłowskiego.

Na dwanaście godzin przed odlotem do Seulu zegraliśmy się oficjalnie w świetlicy warszawskiego COS. Był tort z okolicznościowym napisem i pamiątkowe zdjęcie oraz atmosfera... jak przed gradową burzą. Wszyscy, którzy jechali na igrzyska zdawali się być przytłoczeni odpowiedzialno-

ścią. Na ich start, co było bardzo widoczne na rozmowach w PKOl i resortach sportu, liczono szczególnie. Jakby chcąc przykryć dość chędną całość naszego sportu. Tak wynikało ze szczegółowych opracowań, rachunku prawdopodobieństwa, a za przewidywaniami kryły się także wyniki badań Instytutu Sportu, które w wypadku judo były przeprowadzone wzorowo.

Słuszne więc okazały się koncepcje Zieniawy dotyczące niewysyłania pierwszego składu na mistrzostwa Europy do Pampeluny (maj), co przez niektórych było potępiane w czambuł. Sprawdziły się terminy i czas trwania zakopiańsko-cetniewskich zgrupowań oraz okres prawie miesięcznego treningu w Kodokanie...

Husejn, Garcia, Doherty, Warajew, Wieneke – wszyscy kolejni przeciwnicy Waldemara Legienia. Zwycięstwa w stylu *na ippon*, bezdyskusyjne, z wyjątkiem twardego boju z Rosjaninem, który był może ważniejszą walką od samego finału. Ona otwierała drogę po złoto, a silny Wieneke nie stwarzał już takiego zagrożenia, zaś Legień miał zapewne przed oczyma finał mistrzostw Europy juniorów (San Marino), gdzie bezradnym przeciwnikiem był ten sam, co w Seulu, reprezentant RFN.

Legień w czasie olimpijskich zmagania właściwie nie popełnił żadnego błędu. Jest mistrzem koncentracji, całkowitego wyobcowania się z tłumem konkurentów, dobrym taktykiem, który wie na co go stać. Zawsze ma wiarę we własne siły, w kondycję, zaś judockie abecadło opanował także w sposób prawie doskonały. Różnorodność technik, pazerność na sukcesy obojętne czy są to zmagania olimpijskie, czy też ligowe spotkania na krajowych matach. Nie wiem, czy jest to tylko moje spostrzeżenie, ale przekaz telewizyjny walk Legienia dawał za każdym razem pewność, iż każdy kolejny atak zakończy się sukcesem Polaka.

Wierzę też, że Waldemar Legień przez najbliższe lata będzie utrzymywał olimpijską formę. Chociaż atakować jest dużo łatwiej, niż utrzymywać zdobyte szanse. Złote ippony w wykonaniu Waldka obejrzymy chyba jednak jeszcze wielokrotnie.

JKM

● JUDO ●

Turniej judo igrzysk w Seulu przeszedł już do historii. Specjaliści i kibice w Polsce pamiętać go będą długo, oczywiście za sprawą sukcesów Waldemara Legienia i Janusza Pawłowskiego. Judocki świat, doceniając klasę Polaków, kojarzył będzie jednak hasło „Seul’88” z zupełnie innymi sprawami.

Przede wszystkim na macie wspaniałej hali Changchung dokonał się prawdziwy zamach stanu. W sposób wyjątkowo bezlitosny sprzymierzone siły europejsko-amerykańskie zdekonowały hegemonia, jakim „od zarania” była reprezentacja Japonii. Ojczyzny judo! Prawnuki Jigoro Kano przywiozły bowiem do Tokio tylko jeden złoty medal

rzutem, liczy się tylko sukces na igrzyskach, a różne *zaśmieszanie* tablicy gromadzącej koki i yuko są to tylko połowicze środki w drodze do celu. Judocy japońscy przystępując do walki mieli zakazane właśnie takie postępowanie. Tymczasem natrafili na mur przeciwników chcących wyłącznie zwyciężyć i to najmniejszym nakładem sił. Dalek od poszukiwania efekciarstwa, czuciacy punktów przygotowanych na turnieju znakomicie kondycyjnie i precyzyjnie.

Dużo nagmatwał także zeszloroczny turniej mistrzostw świata w Essen. Dzięki Nipponu harcowali tam do swobodnie, co utwierdziło ich w przekonaniu, że w Seulu będzie podobnie. Liczyli się tylko z ekipą gospodarzy. Europa miała być zdobytą z marszu. Udało się, a widok mistrza świata cze-

Kłęska



Francuz Marc Alexandre zwycięża Svena Lolla z NRD. To finał wagi 71 kg.

zdobytą przez opasłego Saito i ledwo trzy „brązy”. Co prawda Japończycy po porażkach (Montreal!) nie rwą się już do harakiri, ale kociokwik jest u nich przedni...

Seulska klęska długo będzie tam rozpamiętywana, a pocieszenie się faktem, iż sędziowie wydawali werdykty pod dyktando Japończyków (Hosokawa!) nie wchodzi tutaj w rachubę.

Niemoc Japończyków ma także swój paradoksalny wymiar. Nie brak bowiem takich, którzy im współczują, a argumenty są dość chwyliwie. Próbuje się udowodnić, iż turniej olimpijski był także klęską podstawowego kanonu judo. Kanon zakładał, że każda walka musi zakończyć się efektowną techniką,

jącego po zakończeniu walki na niekorzystny werdykt sędziowski był widkiem niecodziennym. Żeby było jeszcze ciekawiej wszyscy ze złotych medali z Seulu’88 pewną część okresu przygotawczego spędzili w... Japonii. Stary mistrz w tym przypadku okrutnie zlekceważył ucznia, a może uczniowi byli tak przebiegli, że biwakowali w Ki dokanie tylko po to, aby oszukać ję zarządców? Prawdopodobnie na przsłorocznych mistrzostwach świata w Belgradzie zobaczymy inną drużynę z Wysp i innych szkoleniowców...

Zobaczymy też radzieckiego trenera starego wygę, Kaletkina, który wraz z ekipą dołączył w Seulu do szeregu pokonanych. Ale nadal ma zaufanie władz radzieckiego sportu.

Rosjanie zdobyli pięć medali, ale ani jednego złotego. Z liczących się w judo zawodników nie powalczyli sobie Czechosłowacy, Włosi, Węgrzy, Kanadyjczycy, Hiszpanie... Za to jak diabeł z pudelka wyskoczył Brazylijczyk Aurelio Miguel, którego nawet jasnowidze nie przymierzali do najwyższego podium wagi ponad 95 kilogramów.

Zaznaczyli swój udział Francuzi, odrodzili się reprezentanci NRD, których uprzednio skreślono już ze światowej czołówki. Triumfowała młodzież, ale złoto austriackiego weterana, Petera Seisenbachera, było wywalczone przez niego na macie, a nie przez prezydenta Kurta Kuczera przy zielonym stoliku...

247 zawodników z 72 krajów. Rekord frekwencji świadczący wyłącznie o wspaniałym rozwoju dyscypliny, która zajmuje mocną pozycję na rynku światowego wyczynu. Rekordowe zainteresowanie publiczności, atmosfera wielkiego sportu z nieco szowinistycznym, niestety, nastawieniem części miejscowej widowni. Taki był turniej w Seulu.

Drużyna Ryszarda Zieniawy wróciła z niego z tarczą i podniesionym czołem. Poza niewypałem Irka Kiejdy, i srogim zawodem jaki sprawił chimeryczny Wiesiek Blach, wszyscy wykonali plan w stylu Pstrowskiego. Z tym, że normy nie były celowo zaniżane...

Polacy nie ustępowali przeciwnikom w żadnym elemencie przygotowań, nie zawiódł zmysł taktyczny, odporność psychiki. O tych szczęśliwych wrześniowych dniach wypisano już całe tomy, widzieliśmy dużo judo w przekazach telewizyjnych (niestety z komentarzem na poziomie trzech piętér poniżej dna), są nagrania video.

Co z tego wyniknie na przyszłość? Sądząc z poczynąń kierownictwa KMiKF judo zostało ostatecznie uznane jedną z wiodących dyscyplin polskiego sportu. Jeśli tak będzie naprawdę, i jeśli nowo wybrany zarząd związku potrafił będzie udźwignąć tę odpowiedzialność, to w środowisku zapanuje pełnia szczęścia. Z tym jednak zastrzeżeniem, iż na Waldku Legieniu i rozpałaniu jego szalonego dnia nie mogą kończyć się związkowe aktywa. Do Barcelony pojadą przecież także inni...

I to jest dla nas ważniejsze, niż seulska klęska Japończyków

JACEK KORCZAK-MLECZKO

PS. Po Seulu – a mamy takie informacje – krajowe sekcje judo nie mogą „opędzić się” od nadmiaru młodzieży. Przychodzi po 300 chętnych...

Na igrzyskach w Seulu medalami podzielili się judocy z 13 państw. Polacy uplasowali się na **DRUGIM** miejscu w klasyfikacji (1–1–0) ulegając tylko gospodarzom (2–0–1), a wyprzedzając Japonię (1–0–3).

W turnieju w hali Changchung uczestniczyło aż 247 zawodników reprezentujących 72 kraje! Rekordowo obsadzona była waga 65 kg – aż 44 judoków. Ogółem stoczono 285 walk. Takiego turnieju judo nie było dotychczas w historii tej dyscypliny...

Kwitnącej Wiśni

MEDALIŚCI TURNIEJU JUDO IGRZYSK OLIMPIJSKICH w Seulu 24–30 września 1988

Waga 60 kg. 1. Kim – Yae Yup (Korea Południowa), 2. Kevin Asano (USA), 3. Shinji Hosoi (Japonia) i Amiran Totikaszwilli (ZSRR). IRENEUSZ KIEJDA przegrał pierwszą walkę z mutem Dietzem (RFN) – *keikoku*.

Waga 65 kg. 1. Lee Kyung-Keun (Korea Południowa), 2. JANUSZ PAWŁOWSKI, 3. Bruno Carra (Francja) i Yosuke Yamamoto (Japonia). W drodze do finału Janusz Pawłowski pokonał Pi Laatsa (Belgia) – *yuko*, Tommy Mortensena (Dania) – *waza-ari*, Iwo Kostadinowa (Bulgaria) – *ippon*, Brenta Coopera (Nowa Zelandia) – *koka* i Yosuke Yamamoto (Japonia) – *ippon*.

Waga 71 kg. 1. Marc Alexandre (Francja), 2. Sven Loll (NRD), 3. Michael Swain (USA) i G. Tenadze (ZSRR). WIESŁAW BLACH wygrał z Ching-Chongiem (Hongkong) – *trzymanie* i przegrał z Brazylijczykiem Luisem Onamurą *yuko* dając z turnieju.

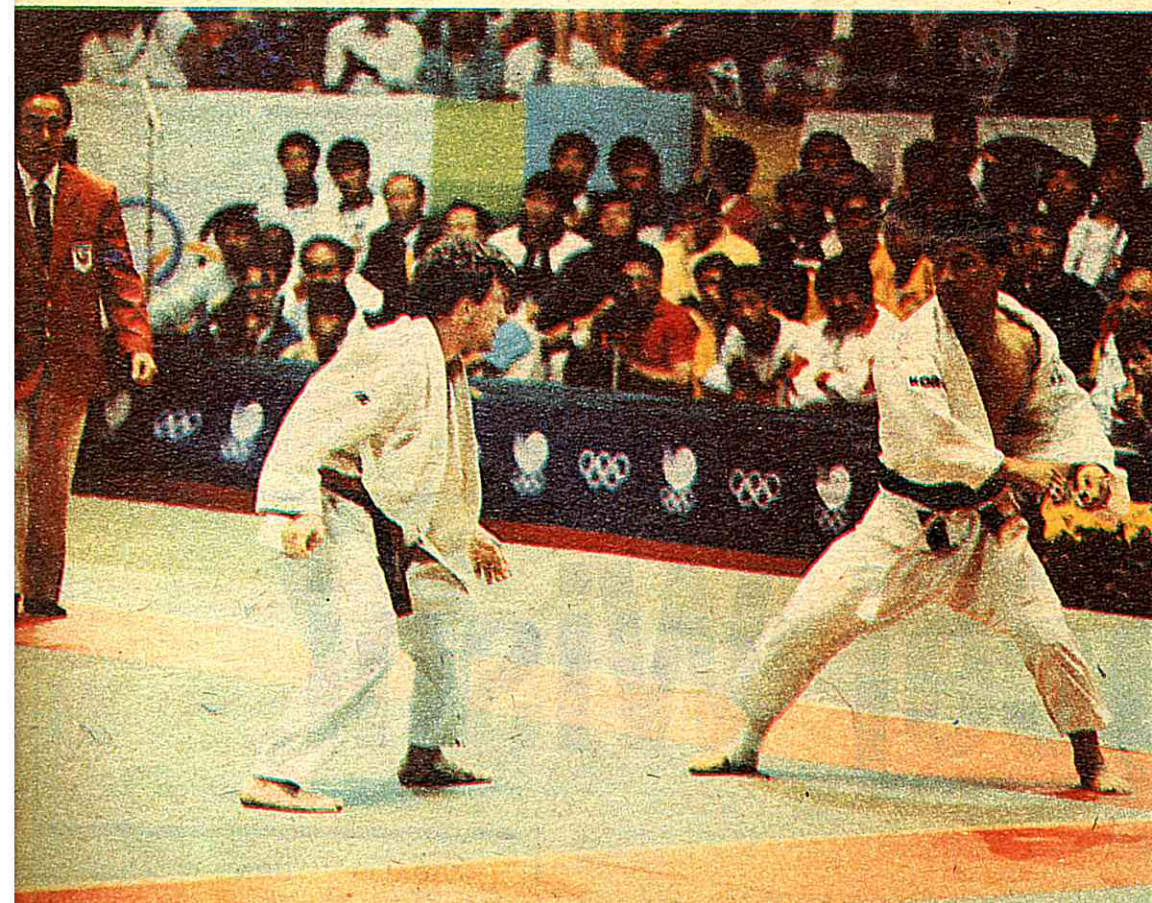
Waga 78 kg. 1. WALDEMAR LEGIEN, 2. Wieneke (RFN), 3. Baszir Warajew (ZSRR) i T. Brechot (NRD). Waldemar Legień w drodze do finału pokonał kolejno Walida Husejną (Egipt) – *trzymanie*, Diego Garcję (Argentyna) – *ippon*, Kevin hertego (Kanada) – *ippon*, Baszira Warajewa (ZSRR) – *wskazówki* i Wieneke – *ippon*!

Waga 86 kg. 1. Peter Seisenbacher (Austria), 2. Władimir Szestakow (ZSRR), 3. Akinobu Osanaga (Japonia) i Ben Spijkers (Holandia). W tej wadze mieliśmy w Seulu swojego reprezentanta...

Waga 95 kg. 1. Aurelio Miguel (Brazylia), 2. Meiling (RFN), 3. Dennis Stewart (Wielka Brytania) i Robert van de Walle (Belgia). 5. JACEK BEUTLER pokonał Ahmeda Barbacha (Maroko) – *waza-ari*, Theo Meijera (Holandia) – *ippon* i przegrał z Meilingiem – *chui*, zaś w walce o brązowy medal z van de Walle – *ippon*.

Waga ponad 95 kg. 1. Hitoschi Saito (Japonia), 2. Henry Stoeck (NRD), 3. Yong-Chul-Ho (Korea Południowa) i Grigorij Wiericzew (ZSRR). ANTONI BASIK pokonał Clemensa Jehle (Szwajcaria) – *ippon*, Jode de Carvalho (Angola) – *ippon* i przegrał z Koreańczykiem Yong-Chul-Ho.

Weteran Seisenbacher z lewej, w pojedynku z Francuzem Canu.



NARESZCIE!



Kącik szkoleniowy pod redakcją WALDEMARA SIKORSKIEGO

Rocznik 1959, chłopak z Wybrzeża, judoka. Prawie „weteran”, bo w polskiej ekipie na igrzyska w Seulu nie znalazło się zbyt wielu sportowców uczestniczących jeszcze w olimpiadzie roku 1980. Jednym z nielicznych, do tego brązowym medalistą z Moskwy, był JANUSZ PAWŁOWSKI.

Przed czterema laty jego kariera stała pod znakiem zapytania. Zasiadł na macie kilkanaście tygodni spędził w szpitalnym łóżku. Wirusowe zapalenie wątroby, które w przypadku sportowców oznacza zwykle natychmiastowy rozbrat z wyczynem. Ale nie dotyczyło to Janusza Pawłowskiego. Ile trudności i samozaparcia kosztował powrót do aktywnego treningu wie tylko sam Janusz...

Przez całą ostatnią dekadę uznawany był słusznie za najlepszego, najbardziej doświadczonego i pewnego zawodnika polskiego judo. Rzadko zdarzało się, aby z mistrzowskich imprez wracał bez medalu, a najważniejszą przeszkodą do sforsowania okazywała się pierwsza walka turnieju. Nie wiem, czy w podświadomości Janusza tkwił gdzieś kompleks tych inaustracyjnych 5 minut, ale jeśli wychodził on z tej próby zwycięsko, to trenerzy brali zaraz ogromny oddech ulgi...

Seul był najważniejszą próbą w życiu Janusza Pawłowskiego, a spotkany na dzień dobry Belg, Philip Laats, tym razem nie sprawił kłopotów. Gdy Janusz w półfinale pokonał samego Yosuke Yamamoto był już moralnym zwycięzcą turnieju wagi 65 kilogramów. Zaskarbił sobie wdzięczność gospodarzy, dla których 5 lecający na „kosmiczny” ippon Japończyk jest widokiem przepyszny...

Czy Janusz liczył na złoto? Nigdy nie powie, że nie. Chociaż wiedział, iż Koreańczyk Lee Kyung-Keun będzie na macie bierny niczym treningowy manekin, nie wykona żadnego ataku, gwałtownego ruchu. Jeśli przy „czystej” tablicy dotrwa do końca walki tylko on, zawodnik gospodarzy, będzie triumfator. Tak się stało, a do Janusza nikt nie ma cienia pretencji...

Potem było już tylko radosne powitanie w Warszawie, autografy (!), dziesiątki dużych i małych fet, spotkania oficjalne i pogawarki z młodzieżą. Po miesiącu już spokój oraz możliwość wyjścia z rodziną (liczną!) na spacer po gdańskiej Starówce. Gdy wcześniej spotkał się na Okęciu Janusz przoszony o ocenę swego występu zastanowił się, a potem powiedział tylko jedno słowo: *Nareszcie!* Właściwie wszelkie komentarze są zbyteczne...

JKM

Zdjęcia: ADAM HAYDER
i LESZEK FIDUSIEWICZ

URA-NAGE



1



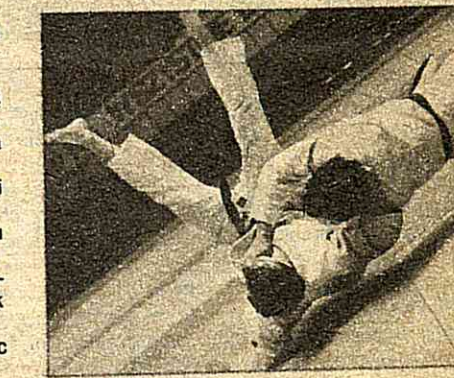
2



3



4



Ura-nage należy do rzutów z grupy *sutemi-waza*. *Sutemi-waza*, czyli rzuty poświęcenia, polegają na tym, iż rzucający upada uprzednio sam na bok lub plecy, aby wykonać rzut. W przypadku judo sportowego, gdy rzucający pada na matę ryzyko potłuczenia, lub narażenia się na inne urazy jest niewielkie. Lecz w przypadku, gdy zaatakowany na ulicy judoka musi wykonać upadek na twardej i być może nierównej nawierzchni ryzyko jakie musi ponieść jest dość znaczne. Stąd rzuty poświęcenia.

Rzut *ura-nage* w początkach judo stosowany był w walce raczej rzadko, ponieważ jest rzutem trudnym, wymagającym od rzucającego dużej siły szybkości i sprawności fizycznej. Dopiero w latach siedemdziesiątych został on wylansowany i stał się głównie dzięki zawodnikom radzieckim jednym z najbardziej skutecznych i spektakularnych przeciwataków.

Wykonywany jest on najczęściej jako kontratak po próbach ataku *uchi-mata*, *harai-goshi*, *o-uchi-gari*, lub jak w przypadku prezentowanym poniżej *o-soto-gari*. Najbardziej znanymi zawodnikami specjalizującymi się w rzucie *ura-nage* byli: mistrz świata z roku 1971 i olimpijski złoty medalista z Monachium, Japończyk Tzusawa, oraz mistrz olimpijski również z Monachium, zawodnik radziecki Czociszwili, który w turnieju olimpijskim zdetronizował mistrza świata z Lozanny, Japończyka Sasaharę. Ten ostatni, rok przed igrzyskami olimpijskimi w Monachium, pokonał w mistrzostwach świata wszystkich przeciwników przed czasem rzutem *uchi-mata*.

1. Partner (*uke*) stara się zaatakować tori rzutem *osoto-gari* w prawą stronę. Wskutek niedokładnego wychylenia stworzył on okazję do kontrataku.

2. Judości zamierzający wykonać rzut *ura-nage* lewą ręką (niewidoczną na zdjęciu) chwytają *uke* z tyłu w okolicy pasa, prawą zaś nie zmieniają uchwytu. Uginając nogi w kolanach i dochylając się do tyłu powoduje, że *uke* zaczyna tracić kontakt z podłożem.

3. Tori stojąc na lewej nodze szybkim ruchem przy pomocy prawej nogi i bioder podtrzymuje *uke* do góry.

4. Tori podtrzymując przeciwnika do góry sam odchyła się mocno do tyłu jakby chciał wykonać gimnastyczny „mostek”, przygotowuje się do padu.

5. Kontynuując rzut tori zaczyna wykonywać pad na plecy. Dzięki naprzemianstronnej pracy rąk i skrętości ciała, tori spowodował, że przeciwnik zaczyna tracić kontakt z biodrami i tułowiem wykonującego rzut.

6. Rzucający pada na prawy bok i częściowo na plecy, wykonując ostatnią fazę rzutu kontroluje pad *uke*.

● KARATE ●

Jasne, długie włosy, piękna buzia, elegancka figura, szykowny ubiór. Nikt by nie zgadł, że taka dziewczyna uprawia karate, sport na pozór wyłącznie męski, przeznaczony jakby dla zawodniaków. EWA ŁAPANOWSKA wygląda na dziewczynę łagodną i delikatną, ale w karate wielokrotnie już zdobywała tytuły mistrzyni Polski...

Tajemnice w lesie

W stroju karateckim króluje od 1984 roku. Kiedy po raz pierwszy uznano ją za mistrzynię, liczyła dopiero 15 lat. Od tamtej pory recenzje jej występów są prawie niezmiennie: „w kata kobiet Ewa Łapanowska nie znajduje godnych siebie rywali”.

„Karate mam chyba we krwi, urodziłam się z tym” – próbuje Ewa wyjaśnić przyczyny swego szczególnego zainteresowania dalekowschodnim sportem. Już jako uczennica podstawówki wykupywała w kioskach książeczki instruujące w zakresie jujitsu. Namawiała jedną z koleżanek na wędrówkę do lasu. Tam wśród drzew, w tajemnicy ćwiczyły różne chwytty, które demonstrowano w książkach. Kiedyś dowiedziała się w szkole, że jedna z dziewczyn uprawia karate. „Słuchaj, czy ja też mogłabym się zapisać?” – zapytała ją błagalnie. „Nie wiem, już miesiąc jak leci kurs” – odparła tamta z mądrą miną. „Zobaczę co się da zrobić”.

Ewa postawiła na swoim i trafiła na szkolną salę w Gdyni Witominie, gdzie Jarosław Mejer nauczał karate według stylu shoto-kan. W sali, ku jej zdziwieniu, obok chłopców ćwiczyło bardzo dużo dziewczyn. Wszyscy już coś tam potrafili, posługiwali się oryginalną terminologią w języku japońskim. Nowa karateczka spieszyła się, bo mało z tego rozumiała, ale takie przyjęcie bardzo ją zadowolowało do nadrobienia zaległości. Pobliski las odwiedzała już codziennie ćwicząc w nim nadobowiązkowo. W grupie karateków wypatrzyła koleżkę, prawie sąsiadka, który zgodził się czasem udzielać karateckich korepetycji.

Grupa ćwiczących, jak to zwykle bywa, malała z dnia na dzień. Nie wszystkim starczało zapалу do ciężkich treningów, ale Ewę animusz nie opuszczał. Nie załamała się chociaż pierwszy egzamin na pierwszy stopień uczniowski zdała nienadzwyczajnie.

„Zapałam się do karate – wyznała Ewa – z dość prymitywnych pobudek. Chciałam zaimponować koleżankom. Pewną agresję miałam chyba w sobie od dziecka. Kiedyś



Słońce wschodzi, czy zachodzi dla dziewcząt w polskim karate?

Szcześciara?

Półzartem

Wszystko się dotarło. Środowisko przyzwyczaiło się do jej kaprysu, ona przywykła do treningów jak każdy człowiek do pracy. Ćwiczysz shoto-kan według tradycyjnej szkoły, w którym nieco mniej podejścia wyczynowego. Specjalizuje się w kata. Na zajęciach nie unika kumite, nigdy jednak nie zdecydowała się jeszcze na walkę podczas zawodów.

„Na świecie dziewczyny od dawna startują na zawodach w kumite. U nas walki żeńskie to dopiero początki. Widziałam ile śmiechu pojawia się na widowni, gdy do walki wychodzą dziewczyny. U nas nie ma ochraniających, nie ma warunków do mocnego uprawiania kumite. Dziewczyny się boją, walczą trochę pół serio, są zażenowane, a niektóre wychodzą tylko dlatego, że gorąco namawiał trener. Trochę przypomina to zabawę dla panów. Nie wiem, czy kiedykolwiek wezmę udział w kumite. Ćwiczę swoje kata, myślę, że w walce wypadłabym także

Mimo, że przygoda Ewy zaczęła się w dużym mieście nadmorskim, czyli zwróconym twarzą do świata, dziewczynę uparcie uprawiającą karate uznano za wydarzenie sensacyjne. Koledzy brata przychodzili na przerwach w szkole specjalnie ją zobaczyć, dzieci palcami pokazywały ją na podwórku i mruczały: „oo, mistrzyni idzie”.

„Starłam się niczego nie zauważać, lecz w drodze na trening, przyznam się, miałam różne obawy. Zaczynając, byłam chyba najmłodsza w grupie – zaledwie 13 lat – wszyscy starsi, silniejsi, a karate to sport kontaktowy. Skłamałabym mówiąc, że nie czułam strachu”.

kątem zajęć w klubie, mama się zaniepokoiła. Bała się o moją przyszłość, że za mocno się zaangażuję i kiedy skończę ze sportem wyląduję nagle na lodzie. Jak każda matka pragnęła, abym była piękną dziewczyną, więc bała się także o moją twarz, że mogę odnieść jakiś widoczny uraz. Z tego powodu, co zrozumiałe, zaczęła mnie nie puszczać na zajęcia, zamykała drzwi, a kiedy upierałam się – urządzała awantury. Zjadłam masę nerwów, lecz zabiegi mamy nie odniosły skutku”.

wyżywałam się na kuzynie, tarosilałam go, sypałam piaskiem w oczy”.

Jeśli córka znika z popołudniami, aby na sali szarpać się z silnymi chłopakami, każda przeciętna matka reaguje podobnie. „Mama od początku była przeciwna mojej pasji. Pozwoliła się zapisać do sekcji sądząc, że szybko mnie się odchece tego sportu. Kiedy się jednak wciągnęłam w wir treningów całe życie zaczęłam ustawiać głównie pod

Rozmowa z JÓZEFEM SIKORĄ SĘDZIĄ KARATE

– Nie wstyd panu? Po klubowych mistrzostwach Europy w Katowicach można było przeczytać, że sędziowanie Józefa Sikorę wzbudziło wiele kontrowersji.

– Czego miałbym się wstydzić, że sędziowałem w zgodzie z sumieniem, uczciwie? Jeśli podstawowy obowiązek sędziowski, to jest uczciwość w wydawaniu werdyktów, będziemy uważać za sprawę kontrowersyjną, nie wiem czy nie przestawimy sportu do góry nogami.

– Sędziował pan w tych mistrzostwach, wpływał na wyniki meczów. Niektórzy polscy trenerzy rozgorzyceni twierdzili, że robił pan wszystko, aby polskie drużyny przegrywały, że weryfikował pan decyzje innych zagranicznych sędziów na naszą niekorzyść...

– Pretensje z punktu widzenia interesów działaczy, trenerów i zawodników były słuszne. Z mojego punktu widzenia, jako sędziego, zawierały wielki błąd. Były niesłuszne, albowiem nieuczciwością daleko się nie zajdzie. Z tego powodu, że zawody rozgrywano w naszym kraju, być może niektórzy oczekiwali drobnych fałszerstw sędziowskich, które pomogłyby naszym karatekom w zajęciu lepszych miejsc. Czy w ten sposób nasi sportowcy wyrobią sobie dobrą markę, taką drogą mamy się przebić? Żle się dzieje w państwie, którego sądownictwo ulega różnym wpływom, nie kierując się literą prawa. Podobna sytuacja w przypadku zawodów sportowych. Nie powinno mnie obchodzić, kto, z jakiego pochodzi kraju, kto za nim stoi. Decydować o wyniku walki musi to, czy była akcja, jak ją dostrzegłem.

– Żal skierowany do pana przez rodaków miał jeszcze inne przyczyny. Tak poważne zawody zorganizowane w Polsce traktowali prestiżowo. Przebywając na długich zgrupowaniach sportowych poświęcał swój prywatny czas, nie żalowali swoich własnych pieniędzy. Podczas walk

zdarzają się sytuacje niejasne, wątpliwe. Mieli prawo sądzić, że ziomek rozstrzygnie czasem wątpliwości na korzyść Polaka.

– Poświęcanie własnych pieniędzy i czasu nie jest wystarczającą gwarancją zwycięstw. Przykro mi, że po tych zgrupowaniach nie przygotowali się tak, aby wygrać w sposób przekonujący, bez wątpliwości. Nie wolno zapominać, że rozmawiamy cały czas o sporcie. Czy jednak kogoś skrzywdziłem? Może, nie wykluczam takiego faktu. Ale na pewno nie zrobiłem tego z premedytacją. Oceniałem sytuację tak, jak je widziałem. I nie można oczekiwać wyjątków w zawodach międzynarodowych. Jeśli zawodnicy zauważą, że raz postąpiłem nieuczciwie, popełniłem świństwo na zawodach światowych, nikt nie uwierzy, że sędzia Sikora nie jest zdolny do podobnych świństw w zawodach krajowych. Prawo sportowe musi być wszędzie prawem.

– Czy środowisko nie uznało pana mimo wszystko za „parszywą owcę”?

– Wielu ludzi miało mi za złe to sędziowanie w Katowicach. Ale, uważam, sędzia musi być gruboskórny. Już wielu moich kolegów sędziów nie wytrzymało podobnego naporu psychicznego rezygnując w rezultacie z zabawy w arbitra. Gdybym się mocno przejmował, skończyłbym jak oni.

– Panuje opinia, że Polscy karatecy występując na zawodach według przepisów WUKO reprezentują niezły poziom, ale krzywdzą ich sędziowie. Na ile jest słuszny pogląd o krzywdzie?

– Uważam, że jest to opinia przesadzona. Istnieją różne powody, aby ją głosić. Z pewnością każdy, więc i karatecy WUKO pragną się tym sposobem trochę dowartościować w oczach swoich i innych. Zawodnik powinien stać do walki z przeświadczeniem, że jest on obiektem rzetelnej oceny. Nie wszystko oczywiście widziałem, można dopuszczać myśli o koniunkturalnych czasach ocenach. Nie widzę jednak podstaw, aby



Ewa Łapanowska, piąta z lewej, w karateckiej rodzinie. Zdjęcie sprzed kilku lat!

Zdjęcie KAZIMIERZ ŁASKOWICZ

dobrze. Może zechcę kiedyś to udowodnić”.

Dawniej uważano, że kobieta nie może przebiec na zawodach więcej niż osiemset metrów. Później dystans wydłużano i obecnie udział kobiet w biegu maratońskim uznaje się za zjawisko normalne. Podobnie w karate. Sądzono, że młode dziewczęta nie zniosą wysiłku jaki jest potrzebny do zaprawy, nie potrafią wykonać ćwiczeń siłowych.

„Najtrudniej jest nam przestawić się, pokonać psychikę, pokonać opór do walki. Mężczyznom przychodzi to naturalniej. My, dziewczyny, boimy się zadać cios, obawiamy się iż wyrządzimy krzywdę. Często widzę jak dziewczyny atakując zamykają oczy, albo cofają się. Prześladowa nas strach przed zadaniem ciosu i strach przed otrzymaniem ciosu. Trenując karate trzeba to przezwyciężyć, więc i ten opór jest kwestią czasu, a zwłaszcza treningu. Najchętniej walczę na treningu z chłopakami, z instruktorem, mam wtedy świadomość że oni nie chcą mnie skrzywdzić. Jak się odsłoniłam, to oberwałam najpierw lekko, następnym razem mocniej. Przełamywałam bojaźń przed uderzeniami, a potem na zasadzie odruchu, żeby znów nie dostać, musiałam wyprzedzać, kontrować. Później uświadomiłam sobie, że potrafię swój cios kontrolować, że nie wybiję przeciwnikowi zębów, wcale nie muszę mu zrobić krzywdy”.

Ewa słyszała o różnych metodach treningowych, nawet takich, w których hartowanie odbywa się sposobem łamania nosów. Ona miała dotąd szczęście. Nigdy nie odniosła poważnych urazów. Karate nie musi być groźne. Nigdy nie płakała z bólu, chociaż zdarzały się lzy wywołane złością...

Złością ją także szczeniackie zaczepki, chuligańskie, prowokujące odzywki. Czasem się zdarza, że weseli młodzieńcy chcieliby wypróbować, czy ona rzeczywiście zna użyteczność karateckich technik. Nigdy się jednak nie zdarzyło, żeby na ulicy dała się ponieść nerwom. Tuli po sobie uszy, na zaczepki nie reaguje, nieprzyjemnych słów udaje że nie słyszy, w towarzystwie spoza klubu unika rozmów o karate.

W tym roku rozpoczęła studia w oliwskiej AWF. Nowe koleżanki na początku trochę się dziwiły, że wybrała ten sport. Ewa nie podejmowała tematu, bo po co kogoś, kto nie zna karate przekonywać czy to dobre zajęcie, czy złe. Jeden z kolegów studentów powiedział jej na zajęciach z anatomii, że karate w naszym wykonaniu to wierutna bzdura, bo sztuki japońskiej nie da się przenieść z duszą na nasz grunt. Może ma rację

– pomyślała Ewa, ale karate poświęciła już sześć lat swojego życia i właśnie w tym co robi znalazła pasję, sens i radość.

„Na treningu lubię się zmęczyć do upadłego. Kiedy już jestem ledwo żywa, spoczęta, wtedy czuję satysfakcję. Niektórzy ludzie odprężają się zbierając grzyby, wędrując, lażąc po górach. Ja rozładowuję się psychicznie ćwicząc techniki karate. Po treningu czuję się tak fajnie, jak nowo narodzona. A kiedy z jakiegoś powodu nie mogę iść na trening, wtedy w domu wszyscy się chowają, bo chodzę zła jak osa”.

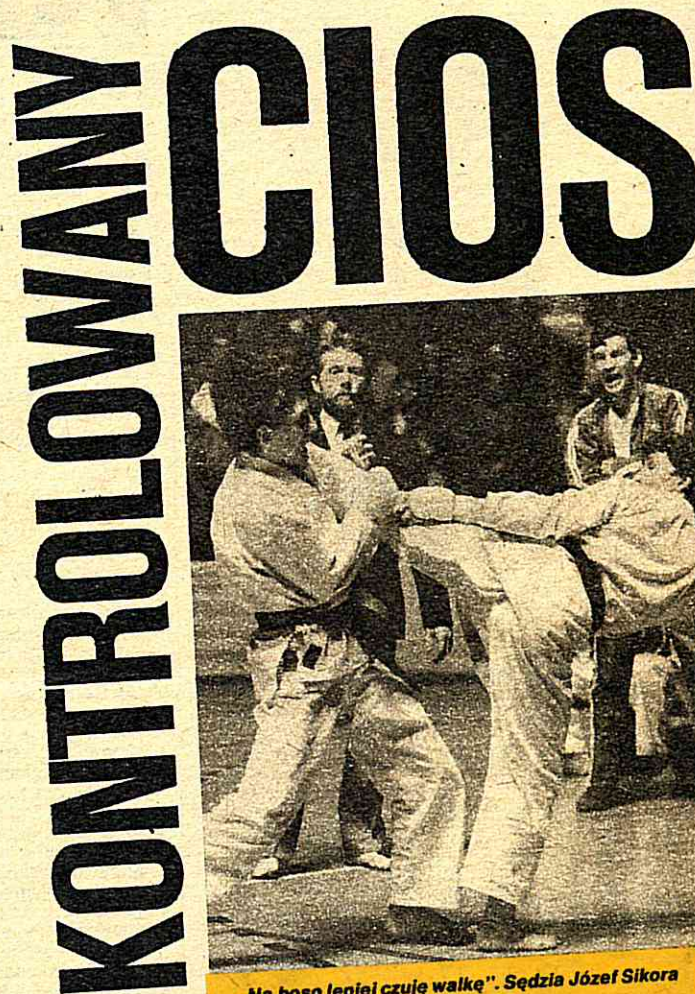
Dolki i górki

Kiedy zapytać Ewę o sposób na powodzenie poradzi szczerze, że kata należy wykonywać w sposób przekonujący. Poprawna technika, ale zademonstrowana beznamiętnie to niczym robot spełniający poleconą mu funkcję. Łapanowska w każde ćwiczenie, w każdy pokaz mocno się angażuje, wkłada serce. Czasem spotyka ją też zawód, ogarnia zwątpienie, wpada w jakiś dołek psychiczny. Największe rozczarowanie ogarnia ją wówczas, gdy próbuje zbilansować dotychczasowe wyniki sportowe. Niby wieloletnia mistrzyni kraju, a bodaj tylko raz, czy dwa reprezentowała barwy w zagranicznym turnieju.

„Czuje się taka nikomu niepotrzebna. Karate kobiet traktuje się w Polsce po macoszemu. Rozwijalam się, osiągnęłam pewien pulap i stoję. Wygrywam krajowe zawody, ale z coraz większym wstydem, że nie robię postępów. Chcąc osiągać coraz lepsze wyniki trzeba jeździć na coraz poważniejsze międzynarodowe zawody, startować, widzieć. Ale o mnie się w Polskim Związku Karate zapomina. Ta sytuacja trochę mnie podłamała. Ćwiczę, lecz z coraz większym przeświadczeniem, że nie warto trenować pod kątem sportowym, tylko dla własnej satysfakcji”.

Niektóre dziewczęta przychodzą do gdyńskiego klubu karate, aby nauczyć się przede wszystkim samoobrony, inne drogą ćwiczeń zamierzają rzucić trochę sadelka. Każda po jakimś czasie znika z sali pochłonięta pracą, robieniem pieniędzy lub z powodu ożenku. Ewa Łapanowska z większym lub mniejszym zapalem wciąż ćwiczy, bo najbardziej to lubi. Kiedy ubierze karategę i wyjdzie na salę, nikt nie traktuje jej ulgowo, po prostu jest karateką. Natomiast po zajęciach, jak się podmaluje, jak się odstawi! Żadna z niej chłopczyca, dziewczyna nie z tej ziemi!

LECH UFEL



„Na boso lepiej czuję walkę”. Sędzia Józef Sikora podczas pracy.

potwierdzić, że sędziowie wyrządzają nam szkodę. Sądzę, że przegrywamy raczej z innych powodów. Nie uczestniczymy w wielu zawodach organizowanych przez EKO, nie dajemy się poznać jako partnerzy. Nasi sportowcy cierpią też na kompleksy, pochodzenia z biedniejszego kraju. Kiedy pojadą na zawody międzynarodowe i zobaczą luz bogatszych, czują się przegrani. To jest największa przeszkoda, bo patrząc na poziom wyszkolenia, na technikę, widać że nasi karatecy dogonili, są równorzędnymi rywalami dla najlepszych.

W jaki sposób został pan sędzią karate według regulaminu WUKO?

Na początku nie bardzo wiedziałem co to jest WUKO. Siedem lat temu zaproszono do Polski szefa sędziów europejskiej federacji, pana Maxa Vicheta. W Cetniewie odbył się specjalny kurs sędziowski zakończony egzaminem. Wśród uprawnionych do sędziowania znalazłem się i ja. Od tej pory organizowano w Polsce zawody według przepisów WUKO. W naszym związku karate zmieniali się ludzie, w pewnej chwili zaproponowano mi przewodniczenie komisji WUKO i w ten oto sposób od kilku lat pełnię funkcję szefa sędziów. Opracowałem wspólnie z kolegą podstawowe dokumenty, jak regulamin sędziowski oraz przepisy przystosowane do naszych potrzeb. Stworzyłem system klas sędziowskich według podziału: kandydat, sędzia klubowy, sędzia okręgowy, sędzia krajowy i sędzia międzynarodowy.

Co trzeba spełnić, aby uzyskać obecnie uprawnienia sędziowskie?

Po pierwsze: należy skończyć odpowiedni kurs. Inny wymóg: kandydat na sędziego musi być posiadaczem minimum brązowego pasa, czyli przez kilka lat poznać karate. Oprócz dobrej znajomości

przepisów żądamy praktyki sportowej. Karate wszechstylowe należy do sportów niewymiernych, tutaj kto sam nie poznał wielu technik, nie potrafi ich należycie ocenić u innych. Wspomnę o dalszych kryteriach. Sędzia krajowy musi posiadać czarny pas. Dodam, że nominacje na poszczególne stopnie sędziowskie wynikają z praktyki sędziowskiej. Nie zakładaliśmy ram, że trzeba, tyle a tyle zaliczyć zawodów. Zresztą codziennosc to wszystko weryfikuje. Mamy za mało sędziów.

Czy polscy sędziowie karate liczą się na forum międzynarodowym?

Istnieje pewna trudność. Żeby sędziować w zawodach międzynarodowych firmowanych przez Europejską Unię Karate trzeba być sędzią EKO. U nas jeszcze takiego arbitra nie ma. Czasem, tak jak w mistrzostwach Europy w Katowicach, na zasadzie uprzejmości polscy sędziowie są dopuszczani do oceniania walk. Droga do grona sędziów EKO nie jest trudna. Federacja przed wielkimi zawodami organizuje czasem kurs. Szef sędziów EKO przygarnia potem do ekskluzywnego grona niektórych arbitrow. Nam do tej pory się nie udało uzyskać uznania szefa z proaiczej przyczyny. Brakuje środków na udział w takim kursie. Szkoda. Nie jesteśmy reprezentowani na wielkich zawodach jako sędziowie, mniej dostrzegani, niestety, są także nasi karatecy. Sprzężenie zwrotne. Uważam, że polscy arbitrzy wiedzą i umiejętnościami nie ustępują innym.

Jakie są najważniejsze zasady przepisów WUKO?

Najważniejsze to dostrzec u zawodnika technikę premiowaną i technikę karana. Zdarzają się sytuacje, że to rozróżnienie nasręca wielu kłopotów. Na przykład po prawidłowej zdawaloby się akcji jednego

z zawodników sędzia przyznaje ippon, nagle drugiemu zawodnikowi plynie z nosa krew. I co wtedy? Wtedy są różne oceny i konflikty. Nieraz nie ma jednocy poglądów w sprawie akcji wykonanej na tatami. Zawodnik i trener uważają, że akcja dobra, sędzia – że zła lub odwrotnie. Kiedyś w zapisie wyszczególniano techniki zabronione. Obecnie zmodernizowano, to znaczy nadal podaje się techniki niebezpieczne, z tym że nie ma regul. Oto technikę kakato-geri, czyli uderzenie piętą w głowę rywala z góry w dół, większość zawodników nie jest w stanie kontrolować, uznaje się ją za niebezpieczną. Jeżeli ktoś opanował ją do tego stopnia, że potrafi kontrolować – może prezentować w czasie zawodów.

Dlaczego przepisy WUKO uważa się za jedne z najbardziej kontrowersyjnych?

Nie zakładają one jako celu w walce, wyrządzenie krzywdy rywalowi. To ogromna zaleta, natomiast kontrowersyjność wynika z malej przejrzystości tych przepisów, często są one niezrozumiałe dla laika. To wada wszystkich sportów niewymiernych. Subiektywna ocena sędziego może spotkać się z negatywnym osądem strony przegranej, bo przez porażkę nastąpiło naruszenie jej interesów. Ale niestety: tam gdzie dwóch walczy, tylko jeden zwycięża.

Dlaczego praktyka sportowa, przesłuchanie zawodnika jest tak niezbędna dla sędziego WUKO?

Ćwicząc karate i widząc później zawodników podczas walki, rozumiesz, odczytasz do czego zmierzają. Rozumiesz ich ruchy, ustawienie ciała, przewidujesz zamiar. Dobry sędzia powinien się zestroić z zawodnikiem, patrzeć niemal jego oczami. Czasem sędzia nie zauważy wykonanej techniki, ale potrafi odczytać co było. Nieraz zdejmując buty, wchodzę na parkiet bosy

i wtedy sędziuję. Bosą nogą bardziej miem walkę, wydaję wtedy bardziej wiedliwie werdykty. Stan ducha sę powinien być zbliżony do stanu duczących.

Czy przepisy, w ramach których wa jest ogromna rozbieżność interpretacji uważa za sprawiedliwe?

Nie przesadzajmy. Dobry zawod wszę może przekonać, że jest dobry, czas walk na wysokim poziomie ka prezentują idealne techniki, wykonu cyzyczne ruchy. Tylko sporadycznie, padkiem może dojść do niezgo w ocenie sędziów i zawodnika. W zakres błędów jest możliwy w czasie na niskim poziomie sportowym.

Czy były i jakie próby udoskonalenia przepisów WUKO?

Próbowano zliczać punkty w walce, doświadczano z większą liczą dziów, oczekując, że większa liczba może wydać bardziej obiektywną walki. A ponieważ przepisy są takie ja oznaczają, że eksperymenty na wiele s zdały.

W jaki sposób sędziowie karate skonał się w sztuce?

Na zwykłe zawody trudno mi z okolo trzydziestu osób do sędziowani temu zajęciu, chociaż zajmują się nim i dziwi pasjonaci, nie zawsze mogą po: cić swój prywatny czas. Sędziowaniu jest wielką atrakcją, pracuje się za da mało tego: nikt nie uściśnie nawet. Można natomiast usłyszeć wiele gorz słów pod swoim adresem. Więc jakie i możliwości nacisku, żeby dopingowa do pogłębiania fachowej wiedzy? Sę wie zawsze jednak będą dążyć do chr nia zdrowia zawodników.

Rozmawiał: JANUSZ ZAN

RADY WŁODZIMIERZA KWIECINSKIEGO



Sensei Hirokazu Kanazawa

KATA

Główne różnice między stylami i metodami szkolenia w karate-do są wyraźnie widoczne w kata, czyli formach. Jest to zespół technik, jakby pantomima, wyobrażający walkę z wieloma przeciwnikami, niektóre ruchy mają też sens symboliczny. Podczas wykonywania kata ważne jest, by zachowywać się z tą samą powagą, co w kumite czyli walce. Również ważne: zachowanie spokoju i jasności umysłu. Chciałbym podkreślić tę ważną rzecz umożliwiającą wyrażenie rzeczywistego znaczenia kata.

Kata były integralną częścią szkolenia w sztukach walki. Początkowa forma polegała na wielokrotnym wykonywaniu ćwiczeń w dojo przez samego prowadzącego, znajdującego się vis a vis uczniów, ćwiczących to samo na jego komendę. Jest to postać dla początkujących. Opanowanie kata polega na połączeniu techniki obrony i kontrataku z prawidłowym oddychaniem.

Celem studiowania i ćwiczenia kata nie jest pokaz, lecz poprawa naszych możliwości w kumite (walce), a następnie praktyczne zastosowanie umiejętności w prawdziwym spotkaniu. Konsekwencją tego jest, że idea kata nie sprowadza się do piękna ruchu, ale skuteczności ruchu. Kiedy ćwiczący potrafi połączyć wrażenie piękna z siłą i – co jest najważniejsze – wrażenie to jest odnoszone przez patrzących na niego z tyłu, to taki ćwiczący ma prawo twierdzić, że opanował kata.

Obecnie występuje tendencja do intensywnego ćwiczenia tego kata, które preferujemy, zapominając o innych. Jeżeli patrzymy na karate jako formę samoobrony, to powinniśmy również dokonać wysiłku, by opanować inne kata, gdyż jedno nie zawiera wszystkich technik.

Kata to dziedzictwo po mistrzach, którzy stworzyli określone techniki w wyniku wyczerpujących ćwiczeń, osobistych spotkań, doświadczeń duchowych i emocjonalnych. W następstwie tego formy są, prócz samych technik walki stosowanych podczas prawdziwych walk, również sposobem ćwiczeń gimnastycznych (które mogą być użyte także do rehabilitacji fizycznej) i filozofią. Walka z nie istniejącym przeciwnikiem w danym kata jest osobistym wyzwaniem. Jedynie przez tę formę ćwiczenia duchowego realizuje się wartość sztuki walki.

Shodoka (osoba zajmująca się kaligrafią) tworzy swą sztukę na białym papierze przy użyciu sumi (czarny tusz). Podobnie budoka (przedstawiciel sztuki walki) wyraża swą osobowość za pomocą swych technik. Ażeby zachować spokój i jasność umysłu podczas wykonywania kata musimy być stale skoncentrowani i utrzymywać nasze „ki” aż do ostatniego ruchu. Powinniśmy również koordynować pracę

umysłu i siłę w każdym ruchu z prawidłowym oddychaniem. Co trzeci raz należy wykonywać kata bez użycia siły. M na celu uczenie się napinania i rozluźniania mięśni.

Koncentracja naszego „ki” poniżej obszaru pępka, g jest ono najbardziej skuteczne, pozwoli ciału na odprężenie i spowoduje jasność umysłu. Stąd też każda technika, wykonywana za pomocą rąk, jak i stóp, będzie żyła własnym życiem. Pragnę polecić tę formę ćwiczenia podczas wykonywania kata. Musimy ćwiczyć liczne i podstawowe k w Shotokanie i zawsze dostosowywać je do poziomu szych umiejętności technicznych. Jest to jeden z głównych punktów, które należy zrozumieć, by rozumieć kata. Pcam to pamięci czytelników.

Heian (Pinan)

Kata Heian są podstawowe. Ich znaczenie jest ja mimo że wielu ćwiczących trenuje je bez rzeczyw tego zrozumienia. W roku 1905 sensei Yasutsune Itos „Święta Pięść” udoskonalił kata Heian w celu wprowadzenia i promowania ćwiczenia podstawowych technik je przedmiot w szkołach średnich, w których ówczesnie czożono Naihanchi (Tekki) przez około 2 do 3 lat. Kata w ka te mają tradycję, swój sens i wartość. Jeżeli wykonywane w inny sposób, to tracą swą autentyczność. Kata Hei w porównaniu z tradycyjnymi kata jak Kanku, nie jest for walki, lecz kata przeznaczonym do ćwiczeń gimnasty nych. Jest to ponadto podstawowe kata, co daje no koncepcję w historii form. Z tego względu wpływ szki z Okinawy jest bardzo istotny. Gdy karate zostało przyje w szkołach średnich jako przedmiot nauczania, sztu walki stała się sposobem samoobrony lub gimnastyki. Był początek nowej ery.

Yasutsune Itosu był liderem odpowiedzialnym za tę zmi nę. Rozwinął on formę gimnastyki ćwiczonej w grup zamiast ćwiczenia tajemnych technik walki. Dlatego z ka Heian wyliminowano takie techniki, jak ippon-nukite i nihon-nukite atakujące oczy lub pachwiny. Z tego powo wszystkie kata zaczynają się i kończą z Uke wyrażający pokorę i stąd kata Heiwa-Antei (spokój i cisza) stało się ka Heian (Pinan).

Gdy zaczniemy zajmować się karate, to uczymy się ka Heian. Jednakże i zaawansowani nie powinni ignorowa gdyż są one i dla nich ważne.

Heian Shodan

Jest to najbardziej fundamentalne spośród 5 kata. Skład się tylko z 5 technik: Gedan-Barai, Chudan-Zuki, Tettsu Uchi w Shizentai, Age-Uke w Zenkutsu-Dachi i Shuto-Uk w Kokutsu-Dachi. Kiedyś Heian Shodan i Nidan były jedyną kata (w niektórych stylach zachowano tę tradycję). Mów się, że sensei Itosu wybrał te ruchy, które umożliwiają dokładną analizę łatwiejszych technik. Inni zaś twierdzą że jest to wersja Kushanku.

★ ★ ★

UWAGA! Już od następnego numeru „Budo” nie spodzianka.

Wojownicy

Duża hala sportowa jest wypełniona po brzegi. Na środku hali stoi ring otoczony wysokim, drucianym ogrodzeniem zabezpieczającym przed butelkami i innymi przedmiotami rzuconymi przez bardziej zapalczywych kibiców. Na ringu dwóch zawodników toczy walkę przy pomocy rąk i nóg. Każde skuteczne uderzenie nagradzane jest hucznymi przez kibiców, z których większość bierze udział w zakładach o zwycięstwo.

Jest to typowy obraz w tajlandzkich halach sportowych. W samym Bangkoku w trzech godzinach toczonych są walki cztery razy w tygodniu, a najlepsi zawodnicy są traktowani niemal jak bohaterzy narodowi. Ten sport to Muay Thai (boks tajlandzki) dyscyplina narodowa Kraju Wolnych Ludzi. Legenda głosi, że jeden z władców tego kraju uchronił przed inwazją Chińczyków walcząc z najlepszym z ich wojowników i pokonując go w walce wręcz. Dzięki temu zwycięstwu Tajlandia została oszczędzona przez chińskiego cesarza...

Już w trakcie podróży lotniczej do Bangkoku w pożyczonym od jednego z pasażerów przewodnikowi znalazłem pierwsze informacje o Muay Thai. Na miejscu miałem okazję nie tylko zobaczyć zawody, ale mogłem również odwiedzić szkołę tajboksu.

Muay Thai to chyba jedna z najbardziej brutalnych, sportowych wersji sztuk walki. Widziałem zawodników stosujących jedynie rękawice bokserskie w celu osłabienia siły ciosu, ale większość stosowanych technik to bardzo silne kopnięcia gołą stopą, wymierzane najczęściej w nogi, zębra i nerki. Przy częstych zwichnięciach bokserzy uderzają kolanami i łokciami. Nie ma tam miejsca na markowane ciosy i udawanie walki, gdyż zwycięzca turnieju może otrzymać nagrodę pieniężną odpowiadającą półrocznej pensji robotnika budowlanego.

Na szczęście ta dyscyplina sportowa zachowała jeszcze wiele elementów nawiązujących do kultury i tradycji tajskiej. Koło ringu jest miejsce dla orkiestry grającej na tradycyjnych instrumentach: dwóch parach długich bębnow, jawańskim flecie i cymbałach. Wraz z dźwiękami egzotycznej melodii na ring wchodzi zawodnicy ubrani w kolorowe szorty oraz opaski – amulety szczęścia – na ramieniu i często na głowie. Klaniają się sobie i sędziemu, a następnie wykonują rytualny taniec. Najpierw klękają i z rękami złożonymi jak do modlitwy wykonują kilka ukłonów, aby z kolei rozłożyć ręce w bok i zwracając się twarzą w czterech kierunkach wykonać ramionami ruchy przypominające ruch skrzydeł. Następnie bardzo wolno imitują walkę z cieniem. Jest to demonstracja klasy zawodnika i macierzystej szkoły. Po tym rozpoczyna się dopiero walka trwająca pięć rund, prowadzona przez sędziego ringowego i czterech sędziów kątowych. Po zakończonej walce sędzia ringowy ogłasza zwycięzcę przez uniesienie jego ręki do góry.

W kilka dni po obejrzeniu turnieju odwiedziłem szkołę boks tajlandzkiego, ale to, co tam zobaczyłem nie przypominało sali treningowej. W głębi podwórza, otoczonego murem, stał budynek mieszkalny. Z jednej strony podwórza znajdowały się klatki z małpami i psami. Reszta powierzchni była wybetonowana i częściowo osłonięta dachem, pod którym stał ring oraz wisiały lustra, gruszki i worki bokserskie, przy których ćwiczyli młodzi Tajowie wykonując błyskawiczne ciosy i kopnięcia. Dwóch zawodników prowadziło luźną, treningową walkę, ale odgłosy stóp uderzających w ciało świadczyły o dużej sile kopnięć. Wszystko to działo się pod baczna kontrolą trenera, który poprawiał technikę i poganiał opieszalszych zawodników.

W trakcie treningu trener o nazwisku Sarisat znalazł chwilę czasu na kilka wyjaśnień dotyczących tego sportu. „Początkowo był to system obronny, który uzyskał ostateczny kształt w okresie Ayuthaya w XIV wieku – opowiadał. – Jako sport istnieje około 70 lat. Początkowo nie używano rękawic, a zawodnicy walczyli dotąd, aż jeden z nich był niezdolny do dalszej walki. Dopiero 40 lat temu wprowadzono rękawice oraz przepisy oparte o boks zachodni”. Trener wyjaśnił również przepisy walki, które okazały się równie proste co brutalne. Jedyne ograniczenia to zakaz podcięć i rzutów, ataków na leżącego przeciwnika oraz uderzeń w krocz i oczy. Zawodnicy rozpoczynają tam trening bardzo wcześnie, w wieku 8–10 lat. Większość z nich pochodzi ze wsi. „Dla nich Muay Thai to jedyny sposób na zrobienie kariery i pieniędzy. Większość z moich zawodników mieszka na terenie szkoły. Trenują dwa razy dziennie: rano kilka kilometrów biegu, po południu trening specjalistyczny. W przerwach między treningami chłopcy wykonują drobne prace na rzecz szkoły” – dodał trener.

W trakcie rozmowy zawodnicy zakończyli trening, a po pewnym czasie służący przyniósł im jedzenie. Usiedli na wybetonowanej posadzce podwórza i zaczęli jeść z misek. Kiedy opuszczaliśmy teren szkoły, jedzenie otrzymaliśmy również zwierzęta w klatkach po drugiej stronie podwórza. Ale one nie musiały wcześniej walczyć o miszkę stawy...

DARIUSZ NOWICKI



Powiedział, że potrzebuje dwóch „kimon”. Dla siebie – w kolorze zielonym, dla niej – w kolorze czerwonym. „To na ślub” – dodał. „Na co?” – zdziwiła się pani przyjmująca zamówienie. „W tych strojach chcemy wziąć ślub” – wyjaśnił chłopak.

i prosi, aby je przyjąć. Uśmiełam się, bo jak odmówić tak sympatycznym pędrakom. Ucieszyli się, opowiedzieli że chcąc sprawić sobie „kimona” zbierali makulaturę, butelki. Tacy zapaleńcy uprawiają ten sport”.

Zapału nie brakuje, lecz strojów – owszem. Konkurencję „Astrze” próbował więc narzucić pewien przywaciarz. Rozwoził swoje wyroby do klubów, reklamował towar. W zakładzie na Śniadeckich wcale się tym nie zmartwili, nawet się ucieszyli, bo kolejka natychmiast zmalala. Niestety po krótkim czasie klientela wróciła stwierdzając, że wyroby przywaciarskie znacznie odbiegają jakością.

„Nadmierna oszczędność prowadzi do tego – wyjaśnia pani Pokrywka – że karatega po kilku praniach się rozlatuje. Z naszych wyrobów, jak słyszymy, klienci są zadowoleni”.

„Kiedys jeden pan – mówi krojczyni Putka – przyniósł stare kimono do polatania. Od razu poznałam naszą robotę. „Już dziesięć lat w nim ćwiczę” – chwalił się pan i mówił, że nie chce żadnego innego”.

Ludzie z „Astry” nie popadają w samozadowolenie. Twierdzą, że mimo ich starań nie wszystkie stroje cechuje wysoka klasa. Narzekają, że otrzymują coraz gorsze materiały. Gorszy materiał, gorsza karatega. Najlepszą tkaniną, która idealnie pasuje na szaty dla ludzi uprawiających wschodnie sztuki walki jest bawełna. Bawełna wchłania pot, natomiast tkaniny elano-bawełniane w większym stopniu ślizgają się po spocnym ciele, następczą więcej kłopotu podczas treningu.

„Klient nasz pan” – powtarzają w zakładzie starą handlową dewizę i nie są to czcze słowa. Każdy zamawiający zostaje dokładnie obmierzony, a kiedy już wyjdzie stąd z upragnioną paczką, ma pewność, że spełniono jego wszystkie życzenia.

„Klienci mają różne gusty” – oceniają panie. „Szyjemy przeważnie stroje białe, ale uprawiający kung-fu życzą sobie czarne więc robimy czarne. Proszą jeszcze na przykład o białą stójkę, albo o białe mankiety. Jedni chcą spodnie ściągane na dole gumką, inni zwężane, drudzy wiązane na troczki. Niektórzy, jak z kick-boxingu, proszą o obszyte kolorowymi lampasami. Wszyscy błagają o naszywkę, ale tej prosby nie stety nie możemy spełnić. Nie posiadamy naszywek, które trzeba ściągać aż zza granic”.

Wśród zamówień specjalnych, jak prośba o „kimona” dla młodej pary, która poznała się ćwicząc wspólnie taekwondo, znajdują się także wiele innych. Pewnego razu klier

Pani Krystyna Putka już prawie trzydzieści pięć lat kroi materiały w warszawskim Domu Mody „Astra”, którego jeden z jego punktów znajduje się przy ulicy Śniadeckich. Zakład zajmuje się usługami bieliźniarskimi, czyli szyciem piżam, koszul i kalesonów, ale od dawna przyjmuje też zlecenia na wykonanie „kimon”. Pani Krystyna pamięta, że najpierw pion gwardyjski zamówił w latach pięćdziesiątych pierwszą partię judog. Zamówienie przyjęły z ogromnym zdziwieniem, bo jakby nie patrzeć była to niezwykle bielizna. Od tamtej pory judocy otwierali drzwi zakładu coraz częściej. „Astra” gwarantowała swoim klientom dobrą jakość wyrobów, z dobrych surowców. Potem materiał z tak zwaną „plecionką” trafił się coraz rzadziej, judocy omijali „Astrę”. Kiedy przez ekrany polskich kin przebiegł Bruce Lee, zakład przy Śniadeckich zaczął odpowiadać tłumnie nowa klientela. Pani Putka sprytnie wywijała nożyczkami, uwijała się jak w ukropie, krawcowe szyły w sprinterskim tempie, a chętnych do sprawienia sobie w „Astrze” strojów do ćwiczeń karate przybywało coraz więcej. Zakład rad nie rad wydłużał terminy, organiczając pakiet zamówień.

„Żeby chociaż było u nas tu kilka osób więcej – mówi z żalem kierowniczka Krystyna Pokrywka – mogłybyśmy uszyć dużo więcej. W tej chwili wykonujemy stroje do karate, taekwondo, kung-fu i do czego sobie tylko klienci zażyczą. Płynię do nas potok zamówień, ale nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich, a z przyjętych wywiązać się w szybkim czasie. Zamówienie realizujemy w czasie dwóch do trzech miesięcy”.

„Przychodzą do nas sympatyczni i niecodzienni klienci” – mówi pani Putka. „Był 18-letni młodzieniec, któremu babcia postanowiła zafundować strój, przychodzi też 7-letni malcy. Zjawilo się kiedyś dwóch maluchów, przestępując z nogi na nogę, zacierając ręce i mówiąc nieśmiało, że chcieliby zamówić dla siebie stroje kung-fu. Odprawiam ich z niczym, bo zamówień mamy już na pół roku pracy, widzę ich smutne, markotne miny. Po chwili wracają. Jeden podchodzi, wyciąga rączkę ze stokrotkami

Prezent pod choinkę

STROJE



Proszę się nie obawiać. Głowa zostanie na swoim miejscu.

Z gwiazdozbioru

Ogromną popularnością w naszych krajach cieszy się nakręcony w 1984 roku film „Karate Kid”. Tytułową rolę gra Ralph Macchio, 25-letni amerykański aktor. Ralph marzył o sławie gracza basketbalu o karierze gwiazdy amerykańskiego futbolu. Tymczasem życie napisał mu scenariusz. Niczym Bruce Lee wolił zachwyty młodzieżowej widowni. Nakręcono więc drugi film z udziałem Karate Kida. Ciekawe jakie techniki opanował Ralph najlepiej?



JANUSZ ZANTYR

Te piękne stroje potrafią także uszyć w „Astrze”. Gorsza sprawa z materiałem.

przypatrując się pracy pań ogromnie się zaciekał materiałem, który obracały w rękach. Poprosił o strój właśnie z tej tkaniny. Wyjaśniły, że „ryps” – materiał o charakterystycznym połysku jest materiałem ubraniowym i w roli „kimona” spisie się niespecjalnie. „To nic – odparł klient – najważniejsze, że podczas ruchu wydaje głośniejszy szelst. To dopiero będzie efekt w czasie walki!”

Na początku pracownice zakładu były laikami w sprawach wschodnich sztuk walki, lecz teraz ich wiedza o tych sportach jest zaskakująco duża. „Musiałymy poznać” – stwierdza pani Putka. „Żeby strój był wygodny, funkcjonalny musimy dokładnie wiedzieć w jaki sposób ma być używany. Często pytałymy więc trenerów, zamawiających sprzęt zawodników. Oni nam tłumaczyli. Otrzymaliśmy też zlecenie na uszycie

hakamy, czyli spodnicopodobnych spodni aikidoków. Chłopak tłumaczył mi jak powinny wyglądać. Najlepiej – powiedziałam mu – jakbyś mi przyniósł takie jedno na pokaz. Przyniósł, ręce mu się trzęsły jak zostawiał, mówił że uprosił trenera, oryginalne japońskie spodnie, nic im się nie może stać! Wykroiliam jak trzeba”.

W zakładzie mówią, że szycie „kimono” sprawia im satysfakcję większą niż szycie kaletników. Poznają nowe ubiory, niezwykle, ciekawe. Chciałyby też, aby ich wyroby były tanie. Karatega kosztuje obecnie 5,5-6 tysięcy złotych, strój do kung-fu 7,5-8 tysięcy złotych. Niestety koszty nie mogą być mniejsze, gdy cena jednego metra materiału wynosi już 900 złotych. Najwięcej materiału i pracy pochłania wykonanie hakamy. W tych niezwykłych spodniach zakładki muszą być pozalamywane precyzyjnie na

odpowiednią stronę. Spodnie są wyposażone dodatkowo w odpowiednią ochronę strzegącą nerki walczącej aikidoki.

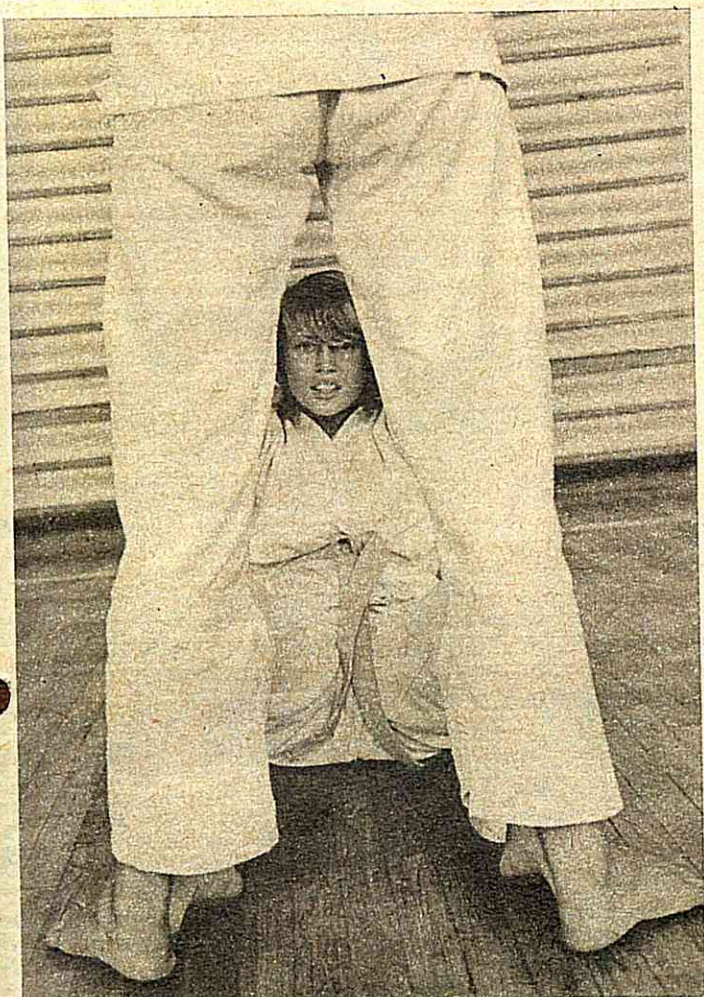
Osiem osób, w tym jedna kroczytni i pięć pań szyjących, starają się zaopatrzyć w stroje do ćwiczeń tysiące osób uprawiających w całej Polsce wschodnie sztuki walki. Ludzie, którym się uda nabyć w „Astrze” poszukiwany sprzęt przesyłają listy dziękczynne. Zakład zasypywany jest również listami, w których młodzi adepci niezwykłych sportów proszą o przyjęcie ich zamówień. Kierowniczka zakładu ma z tego powodu ogromny kłopot. „Proszę napisać – błaga – aby listownie nie składano zamówień. Poczta przynosi codziennie taką porcję listów, że musiałabym zatrudnić specjalnie pracownika do zajmowania się korespondencją. Nie mamy na to czasu, niech nam wszyscy wybaczą”.

Kto lepszy?

Taekwondo WTF w ostatnim okresie podniósł niemal świat, zwłaszcza zachodni. W marcu przed nim olimpijskiej furtki nie było. Zapowiadało rychły awans na stałe do programu olimpijskiego. Po zakończeniu igrzyskach notowania taekwondo WTF jakby jednak spadły. Mówi się, że na

zmianę nastrojów dygnitarzy MKOI, poważny wpływ miały wydarzenia z ... bokserskiego ringu.

Wiele obiecują sobie natomiast w 1992 roku przedstawiciele karate (WUKO). Głoszą oni, że będzie to rok olimpijskiej premiery karate. Zobaczmy.



Karate nie przesłania świata

HARAKIRI

Walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze zwołuje się raz na kilka lat, więc tego już powodu jest to wydarzenie niezwykle. Związek karate postanowił zebrać delegatów na początku listopada, po pięcioletniej przerwie. Termin najbardziej zakłóczyli kick-bokserów, którzy w tym akurat czasie zajęci byli mistrzostwami Europy

w Wenecji.

Delegaci, którzy mieli czas wolny i przyjechali do Warszawy, mogli sobie poczytać w czasie obrad specjalnie przygotowaną lekturę. Były to powielone na ksero artykuły prasowe mówiące o szkodliwości uprawiania sportów walki. Czyżby ktoś zamierzał spowodować zbiorowe harakiri?

Czy wiecie, że...

● Za pierwszą ze znanych człowiekowi „totalnych” sztuk walki uważany jest przez wielu historyków grecki „pankration”, oznaczający dosłownie „wszystkie sily”. Jest to starożytny styl walki, w której wszystkie atrybuty fizyczne (ręce, głowa, stopy) oraz psychiczne (umysł, duch) mają być wykorzystane w stopniu maksymalnym dla osiągnięcia skuteczności w starciu.

W 648 roku przed Chrystusem „pankration” został wprowadzony do programu igrzysk olimpijskich. Niezbite dowody, iż „pankration” rozwijał się już znacznie wcześniej znajdują się na starożytnych wazach i malowidłach, gdzie dostrzec można wojowników podczas rywalizacji. Wzmianki o pan-

kratonie „znajdują się również w licznych dziełach starożytnych filozofów i poetów greckich.

● Sumo, japoński narodowy sport wojenny uprawiany jest przez niezwykle wysokich i potężnie zbudowanych zapaśników, dobieganych na drodze selekcji, którzy dzięki stosowaniu szczególnej diety i nietypowego treningu osiągają proporcje iście gargantui-czne. Od kiedy zniesiono wszelkie ograniczenia w wadze ciała, zdarza się, iż walczą naprzeciwko siebie atleci różniący się nawet dwukrotnie ciężarem ciała. Zasady walki są proste.

Zwycięstwo odnosi się przez wyrzucenie rywala z ringu lub zmuszenie go do dotknięcia podłoża jakąkolwiek częścią ciała znajdującą się powyżej kolan. Osią-

ga się to dzięki stosowaniu jednego lub kombinacji rzutów. Możliwości jest około 200, przy 32 podstawowych technikach.

Ring do walk sumo to kolista arena, wznosząca się o dwie stopy nad poziomem sali. Podłoże wyłożone jest specjalnym gatunkiem gliny z naniesioną nań cienką warstwą piasku.

● Polski Związek Karate pod koniec 1988 roku skupiał już 115 klubów członkowskich. W ramach związku działa siedem komisji stylowych: 1. Kyokushinkai, 2. Shotokan, 3. Taekwondo i Kick Boxing, 4. Kendo, 5. Komisja Sztuk Walk Dalekiego Wschodu, 6. Ju-jitsu, 7. Aikido. Pod względem liczby zrzeszonych sportowców jest to jeden z większych związków w Polsce, który rocznie organizuje aż pięć krajowych mistrzostw.

SASKIA



Dokończenie ze str. 24

„Jesteśmy ludźmi, których obsesja jest seks” – pisano w specjalistycznym magazynie „Fighter” – „towarzyszy on nam stale, również w różnych formach reklam. Jest paradoksem, że ciągle próbujemy udowodnić coś wręcz przeciwnego. Częściej powołujemy się na sprawy ducha, jako bardziej ważne, publicznie i w sposób świętoszkowaty odcinamy się od naszych apetytów cielesnych, jako że są one instrumentem diabła. Prywatnie zaś dajemy tym żądom upust od wieku młodzieńczego do późnej starości. Hipokryzja w seksie przejawia się nawet w naszym życiu domowym. Potraktujemy „to” w sposób tak naturalny, jakbyśmy oddychali. Mimo wszystko trudno jest nam „to” przechrzcić w sobie czy w innych, tak samo jak trudno nam przechrzcić diabła. A jednak – w niebiosach nie chodzi się w bikini – twierdzimy – i na ringu wschodnich walk również. Stroj topless lub też całkowita nagosc jesteśmy skłonni zaakceptować tylko w odniesieniu do małych dzieci”.

Decyzja Saskii stała się więc pretekstem do ogłoszenia tak gorącego katalogu zarzutów pod adresem purytańskich, zdaniem „Fightera”, Amerykanów. „Na szczęście nagosc, jako coś naturalnego, akceptowana jest w Europie” – konstatuje dalej specjalistyczny magazyn – „codziennie odwiedza się tu koedukacyjne sauny, a kobiety na plażach nie używają biustonoszy. Koeduka-

cyjne sauny znaleźć można również w niektórych europejskich szkołach walki”.

Na dowód nowoczesnego podejścia do problemów ludzkiego ciała, „Fighter” zamieścił wkrótce plakat z kuszącą Holenderką na rozkładówce.

Saskia van Ryswyk, mimo fali miażdżącej krytyki, która przecież jej nie ominęła, zdaje się nie mieć wątpliwości co do słuszności swej decyzji. Nigdy nie kryła, iż profesjonalne podejście do martial arts nie wyznaczało kresu jej ambicji. Już w 1976 roku została np. mistrzynią Holandii w tańcach disco. Co więcej, od paru lat Saskia również śpiewa i jest liderką grupy Los Alegres. Nagranie nowej wersji słynnego z roku 1975 przeboju „Kung-fu Fighting”, tym razem pod tytułem bliższym temu, czym Holenderka zajmowała się na ringu – „Thai Box Fighting” stało się niekwestionowanym hitem nie tylko holenderskich dyskotek. Fakt, że do teledysku udało się zaprosić czołowych taj-bokserów nie tylko ze szkoły Chakuriki, wydaje się być szczególnie znaczącym.

Saskia van Ryswyk, 27-letnia była mistrzyni martial arts, jest na najlepszej drodze, by zrobić karierę w show biznesie. Dziś już trudno mieć wątpliwości, że jej śladami podążać będą również inne.

Opracował:
ALEKSANDER BILIK



Saskia van Ryswyk pozowała...

Graciela Casillas, eks-mistrzyni świata w full contact karate ze Stanów Zjednoczonych, jako pierwsza rozpętała burzę. Jej zdjęcia, do których pozowała nago fotoreporterom amerykańskiego wydania magazynu „Playboy”, ukazały się w druku w 1984 roku wprawiając w konsternację ludzi z kręgu martial arts (sztuk walki). Saskia van Ryswyk, którą bez wielkiej obawy o pomyłkę nazwać można najpiękniejszą z mistrzyń, uczyniła to samo rok później.

Wychowana w Amsterdamie, jednym z najbardziej liberalnych i otwartych na świat miast naszego globu, Saskia okazała się wymarzoną postacią dla magazynu ilustrowanego, takiego jak „Playboy”. Czarująca, pełna seksu i kobiecości mistrzyni tajskiego boks, jednej z najtwardszych konkurencji walki uprawianych głównie przez mężczyzn, zdecydowała się pod koniec sportowej kariery, ukazać światu swe wdzięki. Mimo iż dyskretnie umieszczona, zapewne sądząc tylko po wyglądzie zewnętrznym, nigdy nie mogłaby być wzięta za osobę, która bezlitośnie karze i wymierza sprawiedliwość na ringu. Poza nią jest uosobieniem kobiecości.

Jej ojczym był zawodowym rugbystą, ale to jeszcze nie w pełni wyjaśnia, dlaczego już w wieku 14 lat, u boku trenera Toma Harincka, rozpoczęła swą przygodę z boksem. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż była pierwszą dziewczyną, która trafiła do słynnej z ostrego reżimu treningowego i bezwzględności sparringów szkoły fajterów – Chakuriki. Bez najmniejszej taryfy ulgowej „studentka” Saskia walczyła z mężczyznami, osiągając mistrzostwo w full contact karate i boksie francuskim – savate. Pierwszą oficjalną walkę stoczyła w 1976 roku, mając lat piętnaście, a dwa lata później była już mistrzynią Europy.

Nie tylko ze względu na skromną liczbę trenujących sporty walki kobiet, wkrótce w Europie zabrakło dla Saskii przeciwników. W 1980 roku Tom Harinck nawiązał kontakt z najlepszymi taj-bó-

kserami w Bangkoku. Po wspólnych treningach, piękna Holenderka sięgnęła w 1981 roku po mistrzostwo świata w taj-kick boksingu w wadze do 55 kilogramów. Sukces ten powtórzyła również w roku następnym, by w glorii absolutnej mistrzyni wkrótce wycofać się z ringu. W całej profesjonalnej karierze przegrała tylko jedną walkę, właśnie w 1982 roku, z Amerykanką Lilly Rodriguez, siostrą słynnego Benny „The Jet” Urquideza.

Po „przejściu na emeryturę”, Saskia angażowała się w pokazy dla telewizji i szkoły Chakuriki, dzięki czemu jej twarz rozpoznawana była powszechnie, przynajmniej w rodzinnej Holandii. Pracownik „Playboya” rozpoznał ją w ten sposób we wrześniu 1984 roku na plaży i zaproponował serię zdjęć. Kiedy wyraziła ochotę, zaprosił ją do studia Suki Lange-reis, najbardziej kasowego fotoreportera w Holandii, którego prace publikowane były w całej Europie i Stanach Zjednoczonych.

W przypadku Gracieli Casillas, jej pojawienie się w „Playboyu” wywołało kontrowersje szczególnie wśród purystów z kręgu martial arts, którzy uważali, iż publiczne prezentowanie nagości, stoi w sprzeczności z tradycyjnymi wartościami, jakie niosły ze sobą walki Wschodu. Równocześnie decyzja Gracieli unaoczniała podziały w środowisku, których wyrazem było zarysowanie się zwolenników swoistej reklamy, a w konsekwencji postępu w „branży”. Moderniści, jak można by ich umownie określić, twierdzili, iż seks demaskuje najpełniej hipokryzję ludzi z Ameryki. Jako przykład podawano casus Vanessy Williams. Kiedy mianowicie odkryto, iż panująca wówczas Miss Ameryka, pozowała wcześniej do zdjęć porno, zmuszono ją do rezygnacji z tytułu. Publikacja kompromitujących zdjęć w magazynie „Penthouse” wywołała skandal, który trafil na nagłówki gazet od Pacyfiku po Atlantyk.

Kiedy w „Playboyu” ukazała się seria zdjęć Saskii, której jedynym „strojem” były bokerskie rękawice, dyskusja rozgorzała na nowo. Tym razem jednak, golizna mogła liczyć na większą liczbę zwolenników.

SASKIA

The Fighter's Centerfold

sportowiec
budo

Wydanie specjalne magazynu ilustrowanego SPORTOWIEC, 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24, skr. poczt. 255, tel. 21-62-08.

Redaktor naczelny: JACEK ŻEMANTOWSKI. Redaktor wydania: LECH UFEL. – Sekretarze redakcji – JAN TRAWIŃSKI, JACEK KORCZAK-MLECZKO. Opracowanie graficzne – STANISŁAW SIWEK. Redakcja techniczna: MAŁGORZATA GROCHOWSKA, KRYSZYNA NOWAKOWSKA. Korekta: BIANKA ABRATOWSKA, EMILIA KURZELA.

Rada merytoryczna: Janusz Pawluk, Waldemar Sikorski, Paweł Rafalski. Druk: Zakłady Wkleśłodrukowe, Warszawa, Okopowa 58/72. Dyrektor: Andrzej Maciejewski. Wydawca: Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Dyrektor Zygmunt Konopka. Zam. 6060. Nakład 100 000 egz. U-14.